№ 33 Warszawa, dnia 7 (19) Sierpnia 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

SPUŚCIZNA PO DARWINIE.

Wątpimy czy którekolwiek nazwisko wywołało tyle namiętnych sporów i wrzawy, jak właśnie Karola Darwina, najznakomitszego badacza przyrody w bieżącym wieku, najzacniejszego człowieka i obywatela.

Darwinista oznaczało u nas i niestety dziś jeszcze u niektórych oznacza człowieka, który zerwał z Kościołem i tradycyą. Jest to niebezpieczny nowator, który w „towarzystwie" uchodzi za indywiduum bez wiary i ideałów i jest co najmniej materyalistą najgorszego gatunku.

Ileż to klątw najrozmaitszego gatunku i rodzaju padło na głowę Darwina i jego zwolenników, lecz po większej części były to gołosłowne tak zarzuty i potępienia, jako też uwielbienia i hołdy. Dość przejrzeć zapylone na półkach księgarskich dzieła tego znakomitego myśliciela, które mimo zniżonych cen, nie znajdują amatorów, aby się przekonać, że tylko nieliczna garstka ludzi czytała Darwina — a większość, jak słusznie zauważył Dr. Rostafiński, znała tego przyrodnika z popularnego wiersza p. Bartelsa: „Ludzie i małpy". Dziś, gdy Darwin umarł, możemy spokojnie i bez namiętności rozpatrzéć się w znakomitych jego pracach i ocenić szlachetne to życie poświęcone jedynie nauce i prawdzie.

Jednak zakres naszego pisma nie pozwala na szczegółowy rozbiór dzieł jego; jedynie zaznaczymy wśród jakich warunków okazały się prace Darwina i rzucimy kilka słów o następstwach tychże w dziejach cywilizacyi.

Życiorys Darwina jest zbyt znany, byśmy go tu powtarzali, ograniczymy się tylko na podaniu ważniejszych dat z jego życia.

Urodzony 12 lutego 1809 roku w Shrewsbury, odbył młody Karol zwykłe studya, najpierw w „College" a następnie w uniwersytecie w Edynburgu. Uzyskawszy w Cambridge godność akademicką w roku 1831, znalazł szczęśliwą sposobność poznania dalekich krajów jako przyrodnik na pokładzie statku „Beagle", który pod kapitanem Fitz Roy miał odbyć podróż naokoło świata. Podróż ta trwała od 27 grudnia 1831 roku do 2 października 1836 roku, a młody przyrodnik poznał większą część południowej Ameryki, znaczną liczbę wysp cichego oceanu, Indye i Australią. Rezultatem tej podróży były nietylko bardzo bogate zbiory, które stanowiły jego osobistą własność, lecz zarazem mnóstwo bystrych spostrzeżeń i rozjaśnionych kwestyi, które były dotychczas bądź to pomijane milczeniem, bądź też nie zwracano na nie uwagi. Wszystkie owe idee i teorye, które Darwina póżniej tak sławnym zrobiły spotykamy w zawiązku w kilku pierwszych pracach a szczególniej w sprawozdaniu z podróży naturalisty, wyszłem w roku 1843.

Ożeniwszy się w roku 1839 z Emmą Wedgwood, dzięki znacznemu posagowi swej żony, mógł osiąść spokojnie w Down pod Farnborourgh, założyć piękny ogród, szklarnie, zwierzyniec i poświęcić się życiu rodzinnemu (miał pięciu synów i dwie córki) i nauce.

Cały swój czas poświęcał nad ugruntowaniem i udowodnieniem swej teoryi, zostając w ścisłych stosunkach z przyjaciółmi-przyrodnikami. Z prawdziwem zaparciem miłości własnej powstrzymywał się on z ogłoszeniem rezultatów swej pracy, mimo samowiedzy, że one wywołać muszą olbrzymi przewrot. W ciągu lat piętnastu, pomijając drobniejsze artykuły dotyczące przeważnie geologii i botaniki, ogłosił on tylko jedno większe dzieło, a mianowicie monografią „wąsonogich skorupiaków" (cirripedia).

Nalegania przyjaciół, wzgląd na upadające zdrowie, a zwłaszcza wiadomość, że Alfred Russel Wallace, po powrocie ze swej amerykańskiej podróży doszedł do tych samych rezultatów co Darwin i swe spostrzeżenia przesłał do „Linnean Society", skłoniły i Darwina do ogłoszenia drukiem swych rezultatów. W ten sposób w tym samym zeszycie z posiedzeń tegoż towarzystwa z roku 1858 spotykamy rozprawę Darwina i Wallace'a, zaś w listopadzie następnego roku taż rozprawa rozszerzona i uzupełniona ukazała się w druku p. t. „O pochodzeniu gatunków pod wpływem wyboru naturalnego albo o utrzymaniu się uposażonych rodów w walce o byt". Jako dalsze uzupełnienie poprzednio wymienionego dzieła, wyszła w Londynie roku 1868 nowa praca Darwina „O zmienności domowych roślin i zwierząt", w trzy lata później ogłosił dzieło: „O pochodzeniu człowieka i doborze płciowym" a w roku 1872: „Wyraz uczuć człowieka i zwierząt".

W tych kilku pracach a zwłaszcza w dwóch pierwszych jest zawartą cała teorya Darwina, polegająca na tem, że wszystkie własności istot żyjących przechodzą na następne pokolenia. Każde jednak z tych pokoleń, każdy ze składających go osobników, ma pewne, choćby bardzo nieznaczne odrębności. Te odrębności jeżli tylko są pożyteczne w walce o byt, przechodzą na następne pokolenia. W dalszych pokoleniach mogą rosnąć, potęgować się z pokolenia na pokolenie i wreszcie stać się tak przeważającemi, że ostatnie pokolenie jest już odmiennym gatunkiem względem swych praojców.

W następnych latach wydał: „O różnych postaciach kwiatów roślin tego samego gatunku", „Rośliny owadożerne", „O władzy poruszania się roślin", wreszcie na początku b. r.: „O wytwarzaniu ziemi urodzajnej przez dżdżowniki i o obyczajach tychże".

Pracowity a zasłużony swój żywot zakończył Darwin dnia 19 kwietnia b. r. Świat stracił w nim męża, którego nazwisko zawsze jaśnieć będzie w dziejach wiedzy pomiędzy najpierwszemi i najszlachetniejszemi. Człowiek ten mimo swych zalet charakteru, słodyczy serca, nadzwyczajnej skromności, miał bardzo wielu nieprzyjaciół i niechętnych — naród jednak umiał uczcić pracę i zasługi swego syna i zwłoki jego spoczywają w narodowym panteonie opactwa w Westminster.

Jak wspomnieliśmy, niezależnie od Darwina, drugi przyrodnik Wallace, na podstawie swych obserwacyi przyszedł do przekonania, że wyższe twory powstają stopniowo przez udoskonalenie się niższych a przedewszystkiem przez przeżycie takich osobników, które są odpowiednio uposażone do danych warunków życia i bytu. Znaczenie tego procesu, nazwanego słusznie przez Darwina „wyborem naturalnym" i porównanego z wyborem sztucznym, sprowadzanym przez hodowcę zwierząt lub roślin, aby spotęgować potrzebne i dlań korzystne właściwości osobnika, zostało w roku 1853 uznanem i podniesionem przez filozofa Herberta Spencera. Natomiast zasada o istotnym związku genealogicznym wszystkich istot żyjących, czyli innemi słowy o naturalnym ich rozwoju, zamiast zasady nadnaturalnego stworzenia, nie była wcale nową i oryginalną. Dziś wydaje się nam ta zasada zupełnie naturalną i zrozumiałą, a była taką i podówczas dla tych, którzy umieli obserwować i rozumować. Sam nawet Linné, którego „sztuczny" system, mimo swych wielkich zalet, przyczynił się głównie do zastoju nauk przyrodniczych, przeciwstawił mu system „naturalny", który miał być kiedyś opracowany na zasadzie „wewnętrznego" pokrewieństwa istot. Przy końcu XVIII wieku i na początku wieku bieżącego spotykamy takie myśli niezależnie jedne od drugich powstałe u Goethego, Treviranusa i Okena w Niemczech, u Erazma Darwina, dziada Karola, w Anglii, Lamarck'a i Geoffroy, St. Hilaire'a we Francyi, a u Staszica i Śniadeckiego w Polsce.— Wszyscy ci ludzie przypuszczali pochodzenie organizmów od wspólnego im praorganizmu, zaś samo pokrewieństwo zdaniem ich było nietylko zewnętrzne, lecz i wewnętrzne. Zagadkowe pytanie o początku i związku wszechrzeczy, wysuwało się od czasu na pierwszy plan i zajmowało bystrzejsze umysły. Lecz dlaczego istniała ta zimna rezerwa lub nawet bezwzględne potępienie tego rodzaju usiłowań ze strony „cechowych" a obojętność ludzi wykształconych? Nienawiść do tego rodzaju zagadnień sięgała tak daleko, że przy końcu XVIII w. książkę dziś niezmiernie rzadką p. t. „Ród ludzki", w trzech tomach napisaną przez Staszica, spalono publicznie w Warszawie i w Krakowie. A gdy wystąpił Darwin, nastąpił nagły zwrot i niezmierne zainteresowanie się wszystkich ludzi wykształconych?

W kwestyi tej były czynne różnorodne przyczyny. G. Jäger czyni słuszną uwagę, że po wszystkie czasy, to co nie da się natychmiast i łatwo zastosować do panującego systemu, napotyka ze strony uczonych specyalistów na stanowczy opór i bywa odrzucane jako zamach na osobistą godność. Zaś możliwość apelowania do bezstronniejszego sądu, jest tylko wówczas skuteczną, gdy ogół inteligencyi jest dostatecznie przygotowany. To też i Darwin zawdzięcza swe szybkie zwycięztwo zainteresowaniu się i odpowiedniemu przygotowaniu inteligencyi, w czem głównie działał „Kosmos" Humboldta.

Lecz nietylko ta przyczyna oddziaływała na niepowodzenie poprzednich usiłowań.

Przedewszystkiem należy zważyć, że wszyscy poprzednicy Darwina (z wyjątkiem Lamarck'a) przeciwstawiali panującemu dogmatowi o niezmienności gatunku, gołosłowną teoryę, nie udowadniając jej, ani też nie tłomacząc żadnego zjawiska, gdy przeciwnicy każdy najdrobniejszy szczegół budowy poszczególnego gatuku tłomaczyli celowością i mądrością natury. Ten teologiczny puukt zapatrywania się na wszystkie zjawiska przyrody, okazał się niedostatecznym przy bliższem badaniu geologii i sił natury. Aby się zeń wyzwolić zamykał się dawny przyrodnik w czterech ścianach swej pracowni i sumiennie a drobiazgowo badał umarły organizm zwierzęcia lub rośliny, zapominając, że ten twór żył kiedyś własnem życiem i zostawał z przyrodą w ścisłym związku. Tego rodzaju prace i zapatrywania panowały od roku 1830 do roku 1860, a kto się trudnił badaniem życia i obyczajów zwierząt lub roślin, uchodził za dyletanta co najmniej.

Znakomite prace Kölreutera i Sprengela zeszłego wieku, dotyczące zapłodnienia kwiatów przez owady, zaliczono do owych mrzonek i cudowności, nad któremi z uśmiechem na ustach przechodzi się do porządku dziennego. Prąd czasu był przeciwny tego rodzaju badaniom, jakim się Darwin oddawał — to też prócz samodzielności i bystrości myśli, należało mieć wielką odwagę cywilną, aby wystąpić przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy i nie zniechęcić się na widok ogólnej apatyi. Przez dwadzieścia trzy lat pracował wytrwale zbierając dowody i materyały, aby wreszcie skutecznie wystąpić do walki.

Darwin potrafił również uniknąć szczęśliwie drugiego kardynalnego błędu swych poprzedników. Ci starali się udowodnić nieprzerwany związek istniejący od najniższych do najwyższych tworów i zbudowali w ten sposób „échelle des êtres" organizmów, opierając się po większej części na powierzchownem podobieństwie istot najróżnorodniejszych a nawet znaleźli się i tacy, którzy wiązali rośliny ze zwierzętami. Przeciwko tym śmiałym a nieugruntowanym teoryom pows'ał Cuvier, z olbrzymim zasobem wiedzy i faktów, których brakło niestety jego przeciwnikom. Cuvier wykazał, że w państwie żywizny istot musimy rozróżnić przynajmniej cztery zupełnie odmienne typy, różniące się budową wewnętrzną, a dalej, że budowa wewnętrznych organów rozpoczyna się w najniższym tworze a następnie się udoskonala, lecz tylko w granicach typu, że zatem przeskok i połączenie typów jest niemożliwe. Mimo, że kompromis pomiędzy walczącymi był możliwy, przynajmniej odnośnie do typu—nie przyszło do niego, aż póki Darwin nie wystąpił i nie wykazał, że szereg jednolity jest niemożliwy, a natomiast drzewo genealogiczne, którego głównemi gałęziami są typy.

Następstwa nauki Darwina należą już dziś niemal do historyi. Setki sumiennych badaczów powitało z uniesieniem jego dzieła, które wprowadzały ład i porządek tam, gdzie panowały zagadki i wątpliwości. Nauki przyrodnicze odrodziły się otrzymały zaszczytne, im przynależne stanowisko.

Lecz niemal ważniejsze i donioślejsze były następstwa teoryi Darwina na dzieje cywilizacyi i na nowe prądy myśli ludzkich. Wkrótce po ogłoszeniu dzieł powstały obawy czy usunięcie autorytetu i wyrwanie myśli z dawnych torów nie przyniesie zamętu i upadku moralności? Obaw tych jednak podzielać nie należy.

Krzyki i protesta tych, którzy widząc naruszone swe przywileje, wydawania nieomylnych wyroków swej mądrości, nie powinny nas obałamucać, a również wyskoki zbyt gorliwych prozelitów nowej nauki. Musimy raz już uznać, ze człowiek jest stworzeniem jednolitem, który pracą wieków i tysiącoleci zdobył sobie cywilizacyą i z obowiązku musi rozwijać ten po przodkach otrzymany spadek. Ktokolwiek tylko rozejrzy się w owocach pracy Darwina, ten będzie spokojnie patrzeć w przyszłość, gdyż wie, że prawda prowadzi zawsze do światła i zwycięztwa!

W polskiej literaturze nazwisko Darwina stało się głośniejszem po wydrukowaniu broszury L. Büchnera, tłomaczenia p. B. Rejchmana p. t. „Teorya Darwina". Warszawa 1869 r.

Następnie w roku 1873 w Warszawie zostało ogłoszone drukiem główne dzieło tego myśliciela w tłomaczeniu D-ra W. Mayzla: „O powstaniu gatunków drogą naturalnego doboru, czyli o utrzymaniu się doskonalszych ras istot organicznych w walce o byt".

Dzieło: „O pochodzeniu człowieka" zaczęto drukować w Krakowie w roku 1873, lecz to przedsięwzięcie skończyło się na wydaniu jednego zeszytu; dopiero w roku 1875 podjął Lwów to samo wydawnictwo i nakładem księgarni polskiej wyszło tak wymienione dzieło, jak również „O doborze płciowym"—obydwa dzieła w tłomaczeniu Ludwika Masłowskiego.

Wreszcie z prac o roślinach owadożernych ogłosiły „Nowiny" w b. r. streszczenie.

Age.

W NOC KSIĘŻYCOWĄ.

Kochanej Przyjaciółce, **Antonii z Mierzejewskich Bagniewskiej,**

wierszyk ten ofiaruje autorka.

Pójdę ja sobie w ciche doliny
Przez łan;
Tam księżyc tuli jaskier, kalinę,
W swój wian.
Czy zerwę kwiatki, czy wieńce zwiję —
Cóż ztąd?...
Utonę w świetle, bo serce bije
W ten prąd...
W taką noc jasną, gdy śnią pierwiosnki,
Ja — on,
Szliśmy oboje, a życia piosnki
Drgał ton...
Miękki szept cichy muskał mi łono,
Blask łzy,
Tuliłam życiem pod gwiazd osłoną,
Róż sny...
Wśród tego szeptu, słowo jedyne:
„Jam twój",
Rozwarło nagle jasną głębinę —
Nieb zwój...
Blask mego życia stężał w granity
Z nad mórz;
Zawrzały głuche jego błękity
Grą zórz...
Gdzie się rozeszły dwie życia drogi—
Bóg wie!...
Lecz nie zaniosę w księżyca progi
Skarg — nie!...

Pójdę z nim tylko w znaną dolinę
Jak cień,
Zbudzić tchem serca chwilę jedynę:
Świt — dzień...

Romania Kamieńska.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Gdyśmy powrócili do błękitnego salonu, hrabianka Nina podniosła po raz wtóry projekt kostiumowego balu, na jaki koniecznie namawiała naszę panią. Usadziwszy przy sobie Ksenię, zaczęła wspólnemi siłami przypuszczać formalny szturm do staruszki, która nie odmawiając zupełnie, drożyła się jeszcze wesoło wynajdując przeróżne sposoby, aby się wykręcić od obietnicy stanowczej.

Moja ukrainka ożywiona nadzieją nowej zabawy, rozpromieniona i wesoła, gdy słuchała sprzeczki żartobliwej dwóch siwiuteńkich jak gołąbki staruszek, i właśnie chcąc ostatecznie zmiękczyć ukochaną ciocię, zaczęła układać sobie jakiś kostium fantastyczny, — z głównego salonu odezwały się dźwięki fortepianu i po kilku wstępnych akordach i pasażach, zadźwiękła smętna przegrywka do jakiejś dzikiej, kozaczej dumki. Nie zauważyliśmy wcale, że przechodząc z jadalnej sali przez salon główny, Eugeniusz pozostał tamże oglądając freski malowane na suficie na sposób włoski — i dopiero dźwięki dobiegające pianissimo do naszych uszu, przypomniały nam jego nieobecność.

Przy pierwszej zaraz nucie stepowej dumki, Ksenia ucichła nagle, spoważniała i oczy jej pociemniały, stały się czarne prawie i bezdenne jak otchłań. Mimo woli powstała, wyprostowała się i bezwiednie prawie, jak lunatyczka pociągnięta nieprzepartą siłą melodyi, postąpiła ku drzwiom salonu. Poszedłem za nią.

Na środku, przy fortepianie stojącym w ten sposób, że grający musiał być obrócony plecami do drzwi wchodowych, siedział Skrzyński i od niechcenia, pianissimo przygrywał sobie jakby do swych myśli ukraińską rzewną nutę. Dziewczyna wsunęła się cichutko i milcząc stanęła za jego plecami. Eugeniusz zobaczył ją w wiszącym naprzeciw wielkiem źwierciadle i oderwał palce od fortepianu.

— Zna pani tę pieśń? — zapytał.

— Dziewczyna skinęła głową.

— Graj pan! — rzekła cichutko głosem rzewnym.

Eugeniusz nanowo położył palce na klawiszach i wydobył z nich po raz drugi tę stepową nutę, tą razą głośniejszą i wyraźniejszą, a skoro pierwsza przegrywka minęła, przyłączył do niej piękny głos barytonowy i zaśpiewał półgłośno znanego po wszej Ukrainie od Peczerskiej Ławry i Zofijskiego Soboru aż po dnieprowe porohy i nogajskie wybrzeża, ową karczemną a poetyczną, miłosną, dziką epopeję hulanki kresowego Zaporożca:

— „Na dołyni pry Czyhryni,
Wid pancirnych siaje szlach..."

Moja Ukrainka stała za nim ze złożonemi na piersiach rękami, z wpół otwartemi usty i oczami utkwionemi w ciemne, wychodzące na ogród okna, wsłuchana w nutę, której nie słyszała od tak dawna.

Kiedy artysta doszedł do słów:

— „Za toboju nad Worskloju,
Ja na czatach z żalu soch..."

zobaczyłem że pierś jej wznosi się tak wysoko, że zląkłem się, aby nie wybuchnęła łkaniem, jak owego księżycowego wieczora przed rokiem. Ale było to tylko westchnienie, które nie rozpłynęło się w łzy serdeczne, tylko wybuchło z jej piersi strumieniem mimowolnym melodyi, który złączył się i zlał w jedną cudowną harmonię z nizkim głosem malarza. I kiedy porwani oboje siłą pieśni już nie krępując się, ani zważając na nic, ze stepowym porywem kończyli zwrotkę:

— „Ciły noczi, mokri oczi,
A serdeńko tioh, tioh..."

w salonie zrobiło się cicho, tak, że każde z nas słyszało przyspieszone uderzenie swego serca.

Wszystkie panie rzuciwszy gawędkę, po cichu zbliżyły się do fortepianowego pokoju, aby lepiej przysłuchać się tej oryginalnej, dosyć rzadkiej w salonach muzyce, a nawet ksiądz Osowicki nie opuszczający prawie nigdy kanapki przy kominku, powstał z niemałym trudem i przywabiony porywającemi tonami kozaczej pieśni, stanął w progu. Jeden Mirski pozostał w błękitnym salonie nie ruszając się z miejsca i przyglądając się z wielkiem zajęciem nowej jakiejś illustracyi Dorégo.

Kiedy pieśń się skończyła i Eugeniusz opuścił ręce z klawiatury, Ksenia stała jeszcze nieporuszona za jego krzesłem, z płonącą twarzą i drżącemi usty, wsłuchana w konające echa śpiewu. Malarz zerwał się od fortepianu i stanął przed nią patrząc na nią dziwnie głęboko swemi magnetycznemi oczami. Ona uśmiechnęła się do niego z lekkiem rozmarzeniem i zadumą.

— Zkąd pan zna te pieśni? — zapytała.

— Alboż nie urodziłem się na Wołyniu i nie mam wiedzieć co nasza sąsiednia Kozacza śpiewa? — odparł żywo.

— Jesteśmy więc sąsiadami! — zawołała już ze zwykłą swą żywością moja śliczna Ukrainka.— Jak to dobrze, żeśmy się zeszli. Nie słyszałam tej nuty tak dawno! tak dawno! Zdaje mi się że od wieków—i jest mi teraz tak, jak gdybym zobaczyła znowu kogoś ukochanego, niewidzianego od bardzo dawna!

Eugeniuszowi oczy zabłysły.

— Oh! pani — rzekł z zapałem — gdybym posiadał moc i mógł sprowadzić ci tu choć szmatek tego siwego stepu za którym tęsknisz...

Ksenia roześmiała się i dziwnie jakoś, z namysłem spojrzała w oczy młodego człowieka.

— Mówią przecież, że artyści i poeci mają na swe rozkazy takie moce czarodziejskie — rzekła zwolna.

— Gdybym ją miał! — odparł z żalem, trochę tęsknie.

Spojrzałem w tej chwili przez drzwi do błękitnego salonu i dostrzegłem, że Mirski, który dotąd przeglądał illustracye i ryciny leżące na stole, z po za jakiegoś dosyć dużego kartonu, bardzo uważnie przyglądał się obojgu młodym ludziom.

— Panie Mirski! — zawołałem śmiejąc się — czy nie posiadasz mocy za której sprawą moglibyśmy kawałek stepu sprowadzić tu dla panny Kseni?

— Oh! — przerwała śmiejąc się tą razą głośno dziewczyna. — Inżynierzy, fabrykańci, spekulanci... gdzież im do czarodziejstw i mocy takich niezwykłych. Ci ludzie na seryo mogą się tylko posługiwać materyą!

— Nie lekceważ sobie tak pani mocy inżenierskiej—odparł Stefan uśmiechając się pobłażliwie.— Ona przecież rzuciła kilka tysięcy wiorst żelaznej drogi, po której przelecisz pani w trzy doby tę przestrzeń, która cię dzieli od stepu, a którą inaczej musiałabyś przebywać długie dnie i tygodnie.

— To prawda! — odparła swobodnie dziewczyna — ale tą razą nie chodzi o to abym ja była na Ukrainie, tylko aby Ukraina była tutaj w Młynach!—a na to ani cyrkiel ani waga spiralna nic nie poradzą.—Panie Skrzyński — dodała odwracając się do malarza—utwórz mi pan kawałek stepu, wymaluj jaki krajobraz ukraiński, rzuć na niego jaką scenę z życia kozaczego... albo najlepiej jakiego zadumanego, harnego mołodca i karego tabuna przy nim, lub pod nim. Dalej na mogile rozpal nocne ognisko z burzanu, a nad tem wszystkiem zawieś nasz wielki, czerwony miesiąc ukraiński.

— Z radością! — zawołał żywo Eugeniusz — połowę duszy włożę w ten obraz i zdaje mi się że będziesz pani ze mnie zadowoloną!

— Dobrze—odparła uśmiechając się radośnie.— Umieszczę go sobie w moim pokoju w ten sposób, abym codzień otwierając z rana oczy, najpierw mogła ujrzeć ten kawałek mojego kraju.

Kiedy około jedenastej goście nasi rozjechali się każdy w swoją stronę, Jenerałowa przed rozejściem się na spoczynek, z powodu bardzo serdecznego pożegnania z Mirskim, który nazajutrz powracał na Polesie i zapewne nieprędko miał się ukazać w naszych stronach, długo jeszcze mówiła o młodym przedsiębiorcy, wyrażając się o nim bardzo życzliwie i pochlebnie.

— Co to za rozumny i dzielny człowiek! — mówiła żywo — co to za sumienny i wytrwały pracownik na ojczystej niwie. Szanuję tego chłopca, zazdroszczę go Ninie i gdybym była młodą — dodała śmiejąc się wesoło — to zdaje mi się, że kochałabym się w nim szalenie.

— Zdaje ci się tak teraz ciociu kiedy jesteś staruszeczką taką siwą!—ozwała się Ksenia składająca ołówki i papiery. — Gdybyś była młodą, anibyś pomyślała o tem!

— No proszę! — roześmiała się Jenerałowa patrząc z zadowoleniem na śliczną dziewczynę krzątającą się około stołu. Czy to ma znaczyć, że nasz rozumny i ze wszech miar godzien uwielbienia przedsiębiorca, nie potrafił sobie pozyskać względów mojej kozaczki?

Dziewczyna potrząsła lekko główką.

— Nudny jest!

— Czy może czarnobrody artysta wydał się pani więcej zajmującym? — zapytałem.

— Bez wątpienia! — odparła najswobodniej zabierając swoje utensylia rysunkowe i wychodząc z niemi do swych pokoi.

Namowy hrabianki Niny nie pozostały bez skutku. Nasza zacna pani wziąwszy pod rozwagę, że kto ma bawiącą się pannę w domu, powinien też przyłożyć rękę ku wspólnej zabawie, pragnąc przytem wynagrodzić dziewczętom straconą fetę w Obertynowie i kilka następnych wieczorów, które z po-

wodu wylewów wód nie przyszły do skutku, zgodziła się na rzecz w Młynach niesłychaną—na wydanie kostiumowego balu! Skoro już stanowczo ułożono plan zabawy i oznaczono ją na ostatni poniedziałek karnawałowy, rozpoczęło się u nas życie nienaturalne, prawdziwie gorączkowe. Oboje z panną Anastazyą, przyzwawszy sobie do pomocy księdza kapelana, siedząc dnie całe nad stosami papieru, nie mogliśmy wydołać masie listów i kart z zaproszeniami, które potrzeba było porozpisywać i rozesłać rychło, aby każdy odebrał na czas uwiadomienie o zabawie i zdążył przygotować sobie kostium odpowiedni.

Jenerałowa krzątała się ochoczo po całym domu, urządzając i przygotowując go na przyjęcie licznej drużyny gości.

Panny zajęte obmyślaniem kostiumów, nie udzielały nam się prawie wcale—siedząc w swych apartamencikach, jak mówił ksiądz Osowicki, zniknęły nam z oczu po za stosami jedwabi, koronek i tarlatanów. Panna Skarzyńska, stosownie do swych rysów posągowych i rodzaju urody, przygotowywała sobie strój jakiś mitologiczny, Flory, czy Cerery.

Ksenia, zamknięta w swych pokojach, szyła sobie sama, bez pomocy nawet panny służącej, która, jak mówiła, nie umiałaby tej roboty wziąć w rękę.

Kiedy zapytywaliśmy ją z jakiej epoki i narodu zamyśla zasięgnąć pomysłu, odpowiadała nam, że nie myśli bynajmniej sadzić się na taki wyszukany strój jak Helena, która chyba nie uniesie tego bogactwa zboża i plonu, jakie ma ją przemienić w dobroczynną, symboliczną postać, a którego taką masę nosić ma na swej szacie, że gdyby tylko tę suknię posłała do Samary, jużby połowa wygłodzonej podówczas gubernii nakarmioną została! W istocie materyały jakie nasza Ukrainka potrzebowała do sporządzenia sobie kostiumu, były jak najprostsze. Kilka łokci materyi zielonej i purpurowej, kilka łokci grubego sukna i trochę srebrnych galonów, wystarczało jej najzupełniej. Zajęta całkowicie swem dziełem, nie wychodząc prawie z pokoi, nie zaglądając nawet do ulubieńca Burana, siedziała teraz dnie całe w swem mieszkaniu i to nad igłą, do której po raz pierwszy w życiu wzięła się naprawdę. Żartowaliśmy z niej wszyscy przewidując co to za dziwne dziwo przy jej znajomości krawieckiej ukaże się światu w dzień balu... a Jenerałowa chciała przygotować na wszelki wypadek, zapaśny strój starożytnej amazonki, w razie gdyby okazało się, że dzieło dziewczyny nie może ukazać się oczom ludzkim. Ksenia śmiała się tylko i uspokajała ciotkę, że na żadne amazonki nie przystaje wcale, a strój jej na tak dobrej jest już drodze, że nie ma o niego obawy najmniejszej.

Przez te kilka tygodni wiru i przygotowań balowych, najczęstszym naszym gościem była hrabianka Nina. Cieszyła się tą zabawą i radością młodych, do której głównie sama się przyczyniła jak dziecko — i co dnia prawie wpadała do nas, to z poradą jakąś, to z zapytaniem, to z nowym konceptem, pomagając w przygotowaniach naszej pani, zajmując się wszystkiem żywo i kręcąc się po wszystkich kątach.

(*D. c. n.*)

NIEBOSZCZYK ROUSSELOT.

HUMORESKA

KAROLA DESLYS.

Przekład z francuzkiego

E. H.

(Dokończenie.)

XII.

Tu dopiero położenie Prospera stało się drażliwem w najwyższym stopniu.

Przez kilka chwil prowadził z Ireną urywaną rozmowę, sam nie zdając sobie jasno sprawy z tego co mówił, gdyż nie mógł się zdobyć na to ciężkie wyznanie, które na niego zwalono.

Irenę dziwić to zaczynało.

— Nie miej mi pan za złe—rzekła nakoniec — nie wiem dlaczego... czuję się bardzo zaniepokojoną. Nie jest to przeczuciem nieszczęścia,—przed chwilą czułam się tak szczęśliwą!... ale kocham bardzo kuzyna Mateusza... Chciałabym go zobaczyć co prędzej, rozumiesz pan... nieprawdaż?... Pozwól pan zatem...

Wstała, zabierając się do wyjścia.

— Pani — wyszeptał Prosper pomieszany.

— On jest pewnie tam na górze, w swoim pokoju—mówiła dalej Irena, idąc ku wschodom wieżyczki.

— Nie! — zawołał Prosper, zasłaniając jej drogę.

— To musi być w ogrodzie... przy swoich tulipanach.

— Nie, pani, nie... i tam go nie ma.

— Więc gdzieś jest przecie?

Artysta musiał gwałt sobie zadać niemały, nim się nareszcie zdobył na odpowiedź.

— Nie zobaczysz go już, panno Ireno.—Ciało jego spoczywa na cmentarzu... a dusza poszła do nieba!

Irena z razu wierzyć nie chciała; nim łzy nadeszły, uśmiechnęła się jeszcze, jakby promień słońca mignął przed burzą... Młody człowiek musiał jej powtarzać, opowiadać, tłomaczyć wszystko. Wtedy biedaczka, jak kwiatek złamany nagle, pochyliła się, dostała okropnego ataku nerwowego i wybuchła spazmatycznym płaczem.

Prosper był również w rozpaczy. Wyrzucał sobie, że był okrutnym, niedelikatnym, grubianinem; potem, przechodząc z jednej ostateczności w drugą, mówił sobie, że lepiej było skończyć z tem od razu. Powiedział więc, że śmierć nie pozwoliła panu Mateuszowi urzeczywistnić poczciwych jego względem niej zamiarów, że została zupełnie wydziedziczoną, że jest nietylko osieroconą, lecz bez żadnego funduszu.

— Ach, co mnie obchodzi jego dziedzictwo?—zawołała młoda dziewczyna, dotknięta w swej boleści.—Nie jego pieniądze kochałam... lecz jego samego! On mnie przygarnął, gdym sama została na świecie; był mi ojcem, wychował mnie i wykształcił. Był tak dobrym!—O tak, kuzynie Mateuszu!—Nie mam żalu do ciebie za twoje mniemane zapomnienie o mnie—zawołała sierota, wznosząc w górę duże swe błękitne oczy, owszem, cieszę się z tego prawie;—jeśli twój cień błogosławiony przebywa tu jeszcze, jeśli mię możesz widzieć i słyszeć, nie możesz wątpić już teraz, że cię bezinteresownie kochałam,—o tak—Kochałam cię bardzo!—

Prosper miał pełne łez oczy.

Zdało mu się jednak, że jak przez mgłę ujrzał drzwi uchylające się z boku, a w nich postać pana Jana, z palcem na ustach, wskazującego mu na młodą dziewczynę z giestem mówiącym wyraźnie: „Odwagi!"

Artysta żywo otarł oczy i spojrzał raz jeszcze. Drzwi były zamknięte... ani duszy!—czyżby to było złudzeniem?

Zato rzeczywistością była głęboka boleść Ireny. Twarzyczka jej różowa przed chwilą, pobladła; duże i zawsze wesołe oczy zasmuciły się, włosy gładko uczesane rozrzuciły się i spadły na szyję i ramiona. Spłakana, zbolała... i podobno jeszcze jej z tem piękniej było.

Prosper całą swą uwagę zwrócił na nią; rozwinął wszystkie władze rozumu i serca, by nie powiem, pocieszyć, lecz ukoić nieco tę boleść prawdziwą i ułagodzić ją na chwilę. Usiadł przy niej, wpatrywał się w nią, wziął jej obie ręce w swoje dłonie; młoda dziewczyna nie myślała ich odbierać. Słuchała roztargniona; odpowiadała tak samo. Ile czasu upłynęło w ten sposób?—Co sobie powiedzieli? — Wiedzą tylko o tem opiekuńcze duchy, czuwające nad rodzącą się sympatyą, nad czystemi i niewinnemi zwierzeniami, nad miłością serc młodych, które same nic jeszcze o sobie nie wiedzą.

Wtem otworzyły się drzwi od wieżyczki i Anatol Rousselot ukazał się nareszcie.

XIII.

Spadkobierca był w ceremonialnym żałobnym stroju, cały czarno ubrany, krawat biały, duża teka pod pachą.

Sztywny, wymuszony, nadęty. Bezwątpienia wszystkie papiery odnoszące się do sukcesyi, znajdowały się w tece, a pan Anatol wybierał się do swego notaryusza.

Niezawodnie pan Jan musiał z nim rozmawiać, lecz widocznie bez najmniejszego skutku, bo sukcesor zbliżył się do młodej dziewczyny z miną stanowczą, jak człowiek, który nie myśli odstąpić ani na jotę od praw swoich i odezwał się do niej uprzejmie w sposób prawie protekcyonalny:

— Znam położenie pani i rozumiem jej boleść... a chociaż testament jest najzupełniej prawny — rzekł, kładąc nacisk na te słowa—niech pani wierzy, że wszystko co ode mnie będzie zależéć...

— Panie!... — przerwała mu młoda dziewczyna z instynktowem oburzeniem.

— Anatolu! — zawołał Prosper, znający doskonale swego towarzysza, który pod maską tych słów zgadywał myśl jego wybornie.

— No i cóż? — odezwał się zagadniony.—Ponieważ na mnie spada majątek kuzyna Mateusza, czyż nie jest słusznem bym jego miejsce zastąpił pani i naprzykład płacił za nią pensyą w klasztorze?...

— Dziękuję panu — odpowiedziała z prostotą, lecz z godnością młoda dziewczyna. — Płacą w klasztorze tylko za pensyonarki, które wystąpić mają, a ja od dzisiaj wstąpię tam na zawsze.

— Pani...

— Niech się pan nie trudzi daremnie i nie stara się namawiać mnie do zmiany postanowienia; jest ono niecofnione... Nie jestem już pensyonarką, jestem nowicyuszką, a zatem, nic mi nie potrzeba.

Prosper przerażony był, zrozpaczony i byłby w wielkim kłopocie, jeśliby go kto zapytał o przyczynę. W oku Anatola błysło na chwilę zadowolnienie, które natychmiast zręcznie poskromił.

— Wierz mi pani — rzekł — że szczerze, serdecznie żałuję, iż nie mogę zrobić nic takiego, coby pani przyjemnem było, nic a nic.

— Myli się pan — rzekła w niewinnej myśli Irena — właśnie chciałabym pana o coś prosić... o rzecz któraby mi sprawiła prawdziwe szczęście!

— Chciej się pani jaśniej wytłomaczyć — rzekł Anatol z grymasem, który można było wziąć za uśmiech, lub za wyraz niezadowolnienia.

— Bądź pan tak dobrym, daj mi portret kuzyna Mateusza.

— Jaki portret?

— Ten, który się znajduje w jego pokoju w wieżyczce.

— Nie widziałem tam żadnego.

— Ani ja — dorzucił Prosper.

— Może go wyniesiono po śmierci mego krewnego — rzekła Irena — lecz z pewnością musi się znajdować w domu.—Oto wszystko czego od pana żądam!.. Malowidło jest nieszczególne, zato podobieństwo uderzające. Rama jest podobno złocona, nie proszę o nią! Pozwól mi pan tylko zabrać ten drogi obraz do klasztoru... będę myślała, że kuzyn Mateusz żyje jeszcze dla mnie i że nie jestem zupełną na świecie sierotą.

Irena zachwycającą była wymawiając te słowa, któremi zdawała się żegnać to życie. Postać jej cała, uśmiech, spojrzenie, miały w sobie coś anielskiego; można było sądzić, że jej pobożne poddanie się losowi podnosi ją ku niebu.

Prosper wpatrywał się w nią z uwielbieniem, nie odzywając się wcale; Anatol zaledwie był w stanie ukryć swoje zadowolnienie, że się jej mógł pozbyć tak małym kosztem.

Zawołał żywo Bastyana i kazał mu iść co prędzej wyszukać portret nieboszczyka Rousselot'a.

Bastyan z razu odebrawszy ten rozkaz, zdawał się zdumionym niezmiernie; potem rozśmiał się na cały głos i zniknął, nie odpowiadając ani słowa.

— A zobacz tam czy powóz zaprzężony!—krzyknął mu jeszcze na odchodnem. — Jadę natychmiast do Szerburga.

Prosper tymczasem zbliżył się do Anatola.

— Wspaniałomyślnym jesteś dla tej młodej panienki — rzekł mu tak poważnie, że jego towarzysz przyjął jego słowa za dobrą monetę.

— Daję jej czego żąda — odrzekł trochę zmieszany Anatol.

— Nawet to o co cię nie prosi — dodał Prosper — bo wraz z portretem dasz jej pewnie ramę, nieprawdaż?... To bardzo szlachetnie z twojej strony!

— Prosperze! — zawołał Anatol, spostrzegłszy że artysta zeń szydzi. — Proszę cię bardzo, nie mówmy o interesach, widzę że na tym punkcie nie potrafimy się zrozumieć.

— I ja tak sądzę.

— Zresztą, nie mam czasu. Pozwolisz mi przejrzeć raz jeszcze te papiery?...

I nie zwracając już na nic uwagi, otworzył swoją tekę.

Na widok stęplowego papieru artysta cofnął się natychmiast. Nastąpiło długie milczenie.

Anatol usiadł w drugim końcu sali i cały zatopiony w papierach, zdawał się pochłonięty jedynie swemi prawami do spadku.

Artysta zwolna przysunął się do młodej dziewczyny. Nie spostrzegła go ona z razu, bo miała główkę w dół pochyloną; zdawała się oddana własnym myślom. Przez chwil kilka młody człowiek wpatrywał się w nią w milczeniu. Wtem ona podniosła głowę, oczy ich się spotkały.

— Pani! — zaczął nieśmiało Prosper. — Więc dziś wieczorem pani odjeżdża?

— Nie wieczorem, lecz natychmiast!

— I na zawsze zamknie się pani w klasztorze?

— Na zawsze!

Zdawało się, że ta odpowiedź jak cios jakiś spadła na Prospera, gdyż stał przybity, z głową na piersi pochyloną.

Młoda dziewczyna przypatrywała mu się, on się tego nie domyślał.

Gdy i on podniósł głowę — nie wiem jak wiele przeszło im tak czasu — miał oczy łez pełne.

W życiu kobiet bywają uroczyste chwile, w których na drobne hypokryzye wstydliwości nie bywa miejsca. Młoda dziewczyna nie spuściła przed jego wzrokiem oczu, w których głębokie znać było wzruszenie.

— Panno Ireno — rzekł zwolna artysta—spotkaliśmy się raz w życiu, na godzinę... lecz pamięć tej chwili, wierz mi pani, zachowam do grobu. Nim się rozstaniemy na zawsze, czy chcesz mi pani podać rękę jak przyjacielowi?

Bez wahania, bez słów, z czystem spojrzeniem tylko, w którem się malowała wdzięczność, młoda dziewczyna spełniła jego prośbę.

XIV.

— Oto jest portret! — zawołał nagle Bastyan. I opierając malowidło o pierś swoją, przytrzymał je na ręku, jak na stalugach.

Irena pobiegła do tego drogiego obrazu.

— To on! — szepnęła młoda dziewczyna, spojrzeniem i ruchem witając rysy tak żywo przypominające zmarłego — tak to on... dobry, kochany kuzyn Mateusz!

Obaj młodzi ludzie zbliżyli się do obrazu. Jednocześnie stanęli przed nim, obu wyrwał się od razu okrzyk i też same słowa:

— To być nie może... mylisz się pani! To nie może być portret kuzyna Mateusza, to jest pan Jan!

Z po za portretu rozległ się wesoły śmiech Bastyana. Wtem otworzyły się drzwi i pan Jan się ukazał.

— Wołają mnie? — rzekł z chytrą a niby to dobroduszną miną.

Ujrzawszy go Irena, krzyknęła, cofając się w tył... znać było w tym krzyku zdumienie, niedowierzanie, lecz zarazem szaloną radość. Starzec szedł ku niej z szeroko otwartemi ramionami.

— Tak, to ja, ja sam... nieboszczyk Rousselot, kuzyn Mateusz, który cię prosi o przebaczenie, drogie dziecko, że mógł wątpić o twojem przywiązaniu.

— I który, chwała Bogu, umarł tylko na żart!— dodał Bastyan z twarzą promieniejącą wesołością, ukazującą się po nad ramami obrazu.

— Cóż to ma znaczyć? — spytali obaj młodzi ludzie, zdumieni w najwyższym stopniu.

— To znaczy, panowie moi, żem ja człowiek niedowierzający — wytłomaczył im mniemany nieboszczyk—dowodem tego, żem mógł wątpić o sercu mojej Ireny. I raz jeszcze uścisnął młodą dziewczynę, garnącą się do niego. To znaczy, panie Anatolu, że przed oddaniem w ręce twoje mego majątku, przed powierzeniem ci szczególniej najdroższego mego skarbu, chciałem się sam przekonać, czy jesteś godzień i dla poznania cię nie znalazłem innego środka, nad ten stary, zużyty w komedyach sposób. Jeśli próba niepomyślnie dla pana wypadła, samego siebie obwiniaj tylko o to.

— Kochany kuzynie! — wyjąkał zmieszany Anatol.

— Uspokój się pan przynajmniej co do kosztów wojennych. Oto jest dziesięć tysięcy franków, jako wynagrodzenie za podjęte przez pana trudy. Chociaż to nie tak dobry interes, na jaki pan liczyłeś, zawsze jednak interes.

— Panie...

— Parostatek odjeżdża o południu, powóz czeka, nie zatrzymuję pana dłużej.

W tych słowach starca znać było tak silne postanowienie, że Anatol uznał się zwyciężonym i w milczeniu schylił głowę.

— A pan, panie Prosperze — rzekł kuzyn Mateusz, zwracając się do artysty — nie możesz wątpić jak wielką sprawiłbyś *nam* radość, jeślibyś chciał zostać z nami.

— Uważałbym to sobie za wielkie szczęście— rzekł szczerze młody człowiek — lecz przyjechałem z Anatolem... On jest nieszczęśliwym w tej chwili, powinienem z nim wracać.

— To dobrze; masz pan słuszność! Lecz później, wkrótce... Pamiętaj pan, że dość ci tylko słówko napisać do kuzyna Mateusza, a pan Jan pospieszy co żywo na spotkanie pańskie starym powozikiem.

Anatola już nie było w pokoju; Prosper wyszedł za nim, uścisnąwszy serdecznie rękę starego, pożegnawszy Irenę ostatniem spojrzeniem.

XV.

Podczas jazdy powozem, na koźle którego siedział Bastyan, Anatol nie mówił ani słowa; myślał o swojej niedoszłej sukcesyi. Prosper milczał również. Czyż potrzeba mówić gdzie błądziły jego myśli? Przybyli do portu, weszli na parostatek. Anatol wziął bilet, Prosper miał właśnie zrobić toż samo.

— Nie — rzekł Anatol — sam odjadę.

— Jakto! chcesz...

— Powóz jest jeszcze na wybrzeżu. Chcę żebyś niezwłocznie do Ormettes powrócił.

— Lecz...

— Ty sam tylko możesz mnie pogodzić z kuzynem Mateuszem, spodziewam się, że jako przyjaciel, nie odmówisz mi tej usługi.

— Podejmuję się tego z całego serca. Lecz pozwól mi uprzedzić cię...

— Niepotrzeba... działaj z zupełną swobodą... życzę ci powodzenia!

A ponieważ miano zdejmować mostek ruchomy, odepchnął go żywo na brzeg.

W kwadrans później parostatek był na morzu, a powóz wracał ku domowi.

W pół roku potem Anatol odebrał od Prospera następujące pismo:

„Drogi przyjacielu!

„Za tydzień odbędzie się mój ślub z Ireną. Lecz nie obwiniaj mnie o zdradę. Moja narzeczona i ja zgodziliśmy się na ten związek, będący ulubionem marzeniem kuzyna Mateusza, pod tym jedynie warunkiem, że tobie się dostanie przynajmniej połowa jego dziedzictwa. Wprawdzie, bę-

dziesz musiał długo czekać na tę sukcesyą i my również, bo nieboszczyk Rousselot najmniejszej nie ma ochoty umierać... na prawdę.

„Liczę na ciebie, że mi nie odmówisz i będziesz drużbą na mojem weselu. Za trzy dni, najpóźniej wybieraj się w drogę do Ormettes."

KONIEC.

Z TEATRÓW.

Oddawna dochodziły nas wieści o powodzeniu polskiego teatru na scenie Pawłowskiej.

Dziś, gdy przedstawienia kończą się i artyści rozjeżdżają, godzi się chociaż w kilku słowach wspomnieć o działalności tego teatru, które chcemy tutaj napisać według zdań prasy petersburgskiej. Niedowierzania i uprzedzenia, jakie towarzyszyły polskim przedstawieniom, zanim je rozpoczęto, prędko ustąpiły istotnemu powodzeniu, jakie od razu zdobył sobie ensamble krakowski. Obawiano się słusznie, że teatr krakowski, z wyjątkiem pani Antoniny Hoffmanowej, nie posiadający nikogo z wybitniejszym talentem, lub nazwiskiem chociaż, cokolwiek głośniejszem już za rogatkami Krakowa, nie zdoła utrzymać się na odpowiedniej stopie i narazi sztukę polską dramatyczną na szwank.

Tymczasem stało się przeciwnie; „Grube ryby" M. Bałuckiego i „Łobzowianie" Anczyca, dane na pierwsze przedstawienie, od razu zaznaczyły poważny kierunek teatru. Wprawdzie obie sztuki do odegrania nie wymagają wyższych zdolności, siły twórczej, lub doskonałej znajomości wszystkich tajników sztuki, jakie umie odkrywać talent pierwszorzędny. Więc tak: panny Stachowicz, Pysznik, Wojnowska, jak i pp. Wojdałowicz, Szymański i Feliksiewicz zręcznem odegraniem ról stworzyli wyborny „ensamble", na który też największy nacisk kładły dzienniki rosyjskie. „Ensamble" był główną podstawą powodzeń teatru polskiego w Pawłowsku i ten podnoszono zaszczytnie przez sprawozdania. Za „Grubemi rybami" poszedł cały szereg sztuk oryginalnych, z których najpochlebniejszą ocenę wywołały komedye Józefa Blizińskiego: „Pan Damazy", „Rozbitki" i „Marcowy kawaler" uznane zostały przez krytykę rosyjską jako dzieła pierwszorzędnej wartości, mogące błyszczeć świetnie w każdej literaturze scenicznej. Niemniej odegranie tych sztuk nie obniżające wartości dzieła, uznano za bardzo odpowiednie a w tym względzie znowu należy się zasługa paniom: Wojnowskiej, Stachowiczównie, Pysznik, Gajewskiej i Żelazowskiej, pp. Żelazowskiemu, Wojdałowiczowi, Feliksiewiczowi, Szymańskiemu, Stępowskiemu i Frenklowi, że tworzyli dobry ensamble.

Z artystów tych korzystnie wyróżniano pp. Stachowiczównę, Wojdałowicza i Szymańskiego. „Nowosti" utrzymują że p. Stachowicz jest zdolną, sympatyczną naiwną, a p. Wojdałowicz posiada wiele siły komicznej, która może wybornie ubawić widzów.

P. Szymański odznacza się grą wysoce poprawną, inteligentną i stwarza postacie głęboko i artystycznie obmyślane. Szczególniej w „Marcowym kawalerze" Blizińskiego gra p. Szymańskiego miała być wyborną. Wogóle jest to artysta wyróżniający się bardzo zdolnościami w całem otoczeniu.

Inną zupełnie miarą mierzono talent p. Hoffmanowej. Artystka ta nie należąca do tak chwalonego „ensamblu" traktowaną była jako talent wyjątkowy, niepospolity. Ocenie jej gry poświęcały dzienniki obszerne szpalty, każda rola była szczegółowo i ostro rozbierana, i jak z jednej strony podnoszono wysobie zalety właściwe talentowi tej artystki, tak z drugiej strony wykazywano wszystkie ujemne strony tego talentu.

„Gołos", „Nowosti", „Now. Wremia", „Petersburger Ztg.", „Echo", „Herold", „St. Pet. Wied." i t. d. i t. d. uważały p. Hoffmanową jako pierwszorzędną artystkę, która na każdej wielkiej scenie zajęłaby poważne i zaszczytne stanowisko. Pani Hoffmanowa, oprócz kilku ról w oryginalnych utworach, odegrała: „Odettę", „Maryę Joannę" i Zuzannę w „Ćwiartce papieru". Szczególniej dwie pierwsze role, oprócz entuzyazmu publiczności, zwróciły uwagę prasy na talent p. Hoffmanowej, który pięknie błysnął w dramatycznych scenach; podnoszono oryginalność, twórczość a przytem naturalność i prostotę. „Pani Hoffmanowa, jak pisała „Pet. Ztg." — nie gra na scenie, ona na niej żyje, jest uosobieniem postaci, jaką przedstawia do złudzenia."

„Nowosti" stwierdziły, że sława jaką cieszy się p. Hoffmanowa w świecie artystycznym najzupełniej jest usprawiedliwioną.

„Gołos" uznał w krakowskiej artystce, wielką szlachetność gry i piękne pojmowanie roli, która każdej postaci nadaje wybitną indywidualność. Niektóre pisma illustrowane podały portrety p. Hoffmanowej i bardzo zaszczytną ocenę. Godzi się także wspomnieć o benefisie artystki, którym p. Hoffmanowa zaznaczyła swoje poważne stanowisko w sztuce, a jakkolwiek program uległ zmianie z różnych powodów, mimo to ułożenie jego dowiodło wysokiego, estetycznego i szlachetnego poczucia artystki.

Tak więc działalność teatru polskiego w Pawłowsku godnie odpowiedziała poważnemu zadaniu, jakie sobie postawił.

Publiczność rosyjska zapoznała się z naszymi autorami, których nazwiska długo były jej obcemi, przekonała się, że posiadając dzieła: Fredry (ojca), Fredry (syna), Blizińskiego, Zalewskiego, Szymanowskiego, Bałuckiego, Korzeniowskiego, Anczyca, Koziebrodzkiego i wielu innych, których na razie grać nie było można, a z którymi poznają się w drugim polskim stałym teatrze, literatura dramatyczna polska jest bogatą i obfitą.

* * *

Z teatrzyków ogródkowych wystąpiła trupa p. Puchniewskiego z jednoaktową komedyjką p. L. Madejskiego p. t. „Jeden kroć".

Był sobie młody baron a przytem c. k. starosta w Galicyi, który nigdy i nigdzie nie chciał zapomnieć o tem, że ma koronę siedmiopałkową i piastuje wysoki urząd.

Snać ojciec barona nie miał arystokratycznych gustów, gdyż syna swego nazwał Wojciechem — zdrobniale Wojtusiem, co młodego barona wielce irytowało i gniewało do tego stopnia, że poczciwe imię Wojciech, zmienił na Alberta. Otóż ten pan baron ożenił się z córką najzwyklejszych śmiertelników, których herb był nawet wątpliwy. Jagusia, a jak ją dla szyku baron nazwał Jadwinia, była milutką, piękną, a przy tych obfitych darach natury posiadającą „jeden kroć" guldenów posagu, płatnego po dwóch latach w razie szczęśliwego pożycia. Lecz bądź co bądź nie była to baronowa, śmiała się i mówiła, chodziła i tańczyła, kochała swego męża — jak zwykła kobieta, nie otoczona nimbem tytułu i godności urzędniczej.

Cóż dziwnego, że młody pan baron, jakkolwiek kochał Jadwinię, pragnął jednak widzieć w niej baronowę w dzień, baronowę w nocy, baronowę w salonie, baronowę na ulicy — jednem słowem baronowę zawsze i wszędzie.

W tym celu daje on jej lekcye „szyku i smaku baronowskiego", co niepomiernie irytuje młodą żonę i ta postanawia dać mu nauczkę przy sposobności.

Właśnie mija dwuletni termin i rodzice Jagusi zjeżdżają. Ona w myśl instrukcyi męża, odgrywa rolę baronowej, jest zimną, grzeczną, we wszystkich objawach uczucia powściągliwą — tak że jej rodzice są przekonani o nieszczęśliwem pożyciu córki, postanawiają zabrać ją od męża i jeden kroć posagu przepada.

Teraz następuje zmiana frontu. Pan baron pragnie zmienić ton baronowski na zwykły, a żona poucza go w jaki sposób zwykli śmiertelnicy się kochają, całując się np. fizyologicznie a nie psychologicznie, jak to pragnął baron. Serdeczność i ciepło stosunku naturalnego wywołują reakcyą w baronie,—godzi się wreszcie zostać Wojtusiem, a żonę nazywa Jagusią, gdyż w gruncie rzeczy jest to poczciwy i uczuciowy człowiek.

Naturalnie powracający z wizyty rodzice widząc miłość swych dzieci, cieszą się ich szczęściem i oddają jeden kroć posagu.

Jest to komedyjka nadzwyczaj zręczna i sympatyczna, wymaga jednakże nader subtelnej gry, gdyż artysta musi wiele rzeczy wycieniować i uzupełniać, które autor tylko zlekka zaznaczył.

Wykonanie ról nie było bez zarzutu. Wprawdzie p. Śliwiński, utalentowany artysta, pojął i przeprowadził rolę barona z wielką prawdą i elegancyą — natomiast żałujemy, że wdzięczna rola Jagusi nie leży w zakresie ról pani Sosnowskiej; brakło jej grze uczucia i temperamentu, chociaż powierzchowność i ruchy były odpowiednie. Rolę ojca odegrał z powodzeniem p. Gloger.

Sztuki ludowe są teraz na porządku dziennym jak: „Wspólne winy" p. Galasiewicza, „Surdut i siermięga" p. Wł. D. Gutowskiego, grana z powodzeniem — wreszcie z nową ludową sztuką zapoznało nas „Belle vue", jest to obraz ludowy p. Staszczyka p. t. „Wiara, miłość i nadzieja".

Młody ten autor posiada wielki dar obserwacyjny, miewa pomysły efektowne, ale nieznajomość sceny, błędne prowadzenia dyalogu i nie obliczenie się z konsekwencyą charakteru i psychologii powodują, że sztuki jego posiadają bardzo słabą wartość artystyczną i literacką.

Uchwycenie treści „Wiary, miłości i nadziei" należy do rzeczy trudniejszych, gdyż wątek fabuły rwie się co chwila.—Jest we wsi nauczyciel, postać na wskroś szlachetna i idealna we frazesach, który zakłada ochronkę. Na tego poczciwca pada podejrzenie zabójstwa chłopa, a więc więzienie i śledztwo. Zbrodnię tę popełnił z miłości organista, którego piorun w trzecim akcie zabija.

Jest jeszcze Bronka, której odrzucony kochanek rzuca się pod śmigi wiatraku i umiera w czwartym akcie, a wierny i stały Juraha zostaje szczęśliwym małżonkiem.

Wreszcie w drugim akcie mamy pogrzeb—na scenie zastrzelonego wieśniaka. Trzy śmierci, jeden pogrzeb, błyskawice i grzmoty — mnóstwo ludzi przebranych za chłopów i chłopki i o to i wszystko co utkwi w pamięci widza. Jeden tylko pomysł, jakkolwiek nie bardzo smaczny, ale nowy, spotykamy w tej sztuce, oto kankan i śpiewki dziadów pod kościołem.

Lecz jeśli sama sztuka kwalifikuje się do rzędu bomb scenicznych, to natomiast muzyka jest arcydziełem swego rodzaju.

Twórcą tej muzyki jest p. Zygmunt Noskowski. Przeszło dwadzieścia numerów napisał on do tej sztuki, a każdy z nich to prawdziwe pieścidełko artystyczne. Począwszy od uwertury, ognistych krakowiaków, a skończywszy na smętnym śpiewie dziada na cmentarzu i Bronki zrozpaczonej. Charakter pieśni ludowej, wyborna instrumentacya i świeżość pomysłów — przynoszą prawdziwy zaszczyt p. Z. Noskowskiemu.

Sztukę tę, o ile się nadawała do gry, oddali artyści bardzo dobrze. Bronkę odegrała pani Puchniewska z wielkiem przejęciem, słusznie miarkując nienaturalny sentymentalizm — końcowy śpiew wywołał rzęsiste a zasłużone oklaski. Również pani Sochaczewska trudną rolę kokietki wiejskiej zrobiła naturalną, a w dramatycznych scenach grała, jak zwykle, bardzo dobrze. Odznaczyli się również pp. Pichorowa, Kiczman, Śliwiński, Rygier, Popławski i Dłuski a jako dziady pp. Sosnowski i Gloger.

Tańce szły dziarsko i z ogniem, chóry sprawiały się dobrze, jakkolwiek większość pań chórzystek wcale estetycznego wrażenia swą powierzchownością nie robią. *A. G.*

NA SMUTNY TEMAT.

POGADANKA.

Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie „Halka" pozostanie zawsze najmilszą operą, nasuwającą mi szczęśliwe a niestety minione chwile.

„Halką" otworzorzono teatr polski we Lwowie, po długiej supremacyi niemieckiego towarzystwa. Jakiż zapał panował wówczas, jak radośnie brzmiały dwa nazwiska: Moniuszki i Wolskiego!

„Nie ma już niemców"—temi słowy witano się, ściskano sobie ręce, zaznajamiano się.

Była to wiosna konstytucyjnego życia w Galicyi. Mijały lata. Pożegnałem Galicyą, zawitałem w inne strony.

Anioł szczęścia rodzinnego odwiedził mnie pewnego razu.

Cóż dziwnego, że poczułem w sobie nowe, nieznane mi uczucia — oddzielenia się od niebezpiecznego życia zewnętrznego, a zamknięcia w cichem kółku domowem, pragnienie uroczego „sam na sam"! Była to nowa wiosna, i w naturze i w sercu.

I znów „Halka" — stała się pośredniczką. Kochałem i byłem kochany, a urocze tony lirycznej muzyki tego „słowa duchów" i czar poezyi słowa tej „muzyki ludzi", tak dziwnie na mnie oddziaływały — że zasłuchany „z aniołami zacząłem się bratać". Od tej pory — chociaż wiele, bardzo wiele się zmieniło, i ja się postarzałem, stetryczałem — jednak owo wspomnienie pozostało tak silnem, tak miłem i drogiem, że każde przedstawienie „Halki", którego nie opuszczam nigdy, stawia przede mną „sny złote i złotą jawę" miłości.

W ten sposób dwa najżywotniejsze dla jednostki uczucia złączyły się u mnie z „Halką", z nazwiskami Moniuszki i Wolskiego.

O pierwszym wiedziałem — ale drugi był mi niemal nieznany.

Ażeby go poznać szukałem po bibliotekach i bibliografiach. Znalazłem poemat „Ojciec Hilary", „Fantazyą" i mnóstwo wierszy ulotnych, z których zawsze tryskała poezya, jakkolwiek zmanierowana pod względem formy i budowy. Dziś owe poezye któremi się współcześni (Włodzimierz Wolski, urodz. 1824 r., wystąpił jako poeta 1842 roku) zachwycali i nad niemi się unosili — nas młodszych nie porywają, chyba czasem wierszyk tego pokroju i ducha jak „Narzeczona", której wieść z nad Buga o miłym przynosi rozkoszne marzenia a spotyka się z ukochanym w Warszawie, gdy pasuje się ze śmiercią...

Jednak „Halka", której każdy wiersz, każda piosenka tętni życiem, czaruje poezyą, porywa uczuciem — pozostanie zawsze dla młodszej generacyi świadectwem, że tworzył ją poeta — i to poeta natchniony, który umiał czuć i myśléć, kochać i cierpiéć i harmonijnym słowem poruszać głębie ducha i serca ludzkiego.

A dalej dochodziły z Brukselii smutne wieści o życiu i nędzy biednego, wykolejonego poety. Jakiś czas pracował przy jednym z dzienników miejscowych, lecz nie umiał czy też nie mógł, ów dawny lew „cyganeryi warszawskiej" nagiąć się do systematycznej a żmudnej pracy i—za pięć franków wygłaszał mowy pogrzebowe nieboszczykom, których rodzina pragnęła uczcić w ten wymowny sposób.

Biedny poeta! W obcym języku — pochwałę obcych i nieznanych opiewać. Zamiast uśmiechu, patrzéć zawsze na łzy, na szczery lub udany smutek, zamiast słońca i niw, widziéć tylko krzyże i nagrobki. Biedny poeta!

Nagły atak apoplektyczny położył wreszcie kres posępnej a ciernistej drodze życia w dniu 7 sierpnia b. r.

A. K. Prut.

NOWE WYDAWNICTWA.

Biblioteka romansów i powieści wydawnictwa Kaufmana, zmieniła format gazetowy na książkowy i rozsyła prenumeratorom po miesięcznej przerwie cztery zeszyty za miesiąc lipiec.

O skarbie w pasiece przez Ewę-Maryę. Warszawa 1882 r. Jest to pogawędka dla ludu i średniej inteligencyi, dotycząca strachów i skarbów ukrytych. Autorka w zręcznej opowieści wykazuje bezzasadność zabobonów i zachęca do rzetelnej pracy nad pszczelnictwem; w gospodach chrześciańskich i biblioteczkach ludowych niewątpliwie spotkamy tę tanią a pożyteczną książkę.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

⁂ Czytamy w „Nowinach". Przed laty umarł w Łomży ks. Dzwonkowski, prefekt szkół tamtejszych, który za czasów Adama był profesorem historyi literatury w Nowogródku; posiadał on i przechowywał z zamiłowaniem zbiór poezyi Mickiewicza z pierwszego okresu budzącej się jego twórczości, oraz innych współczesnych prac jego. Umierając ks. Dzwonkowski, oddał drogę tę pamiątkę ówczesnemu inspektorowi szkół łomżyńskich. Jak wiadomo, ks. Siemieński we Lwowie zajmuje się od dość dawna napisaniem biografii Mickiewicza, a pragnąc aby była dokładniejszą od wydanych dotąd, wyszukuje i sprawdza wszelkie najdrobniejsze nawet odnoszące się do niej szczegóły i wiadomości. Dowiedziawszy się o zbiorach przekazanych przez ks. D. inspektorowi szkół łomżyńskich, przeprowadził w tym przedmiocie rozległą korespondencyą, dzięki której, udało mu się odszukać ślad posiadacza owego skarbu literackiego i jest nadzieja, że będzie mógł tenże odzyskać i oddać na własność publiczną.

⁂ Opozycyjna prasa niemiecka, w walce swej przeciw agraryzmowi i cłom ochronnym, chwyta za wszelką broń dającą wyzyskać się ku temu celowi, nie bacząc, że często broń ta bywa obosieczną. Obecnie prasa ta rozpisuje się szeroko o pauperyzmie na Górnym Szlązku, ma sie rozumiéć bez źdźbła serca i uczucia dla polskiego górno-szlązkiego chłopa. Według gazet niemieckich najrozmaitszych odcieni, którym przyznanie to mimowolnie i w zamierzonych celach się wyrywa, nieszczęsna ta istota wyzyskiwaną jest wiecznie tak przez wielki przemysł jak przez wielką posiadłość niemiecką. W jednej z najgłówniejszych kopalni, pod Altenbergiem, od czterech już przeszło miesięcy nie wypłacono robotnikom należnego im zarobnego, wskutku czego obawiać się należy bezrobocia i smutnych jego następstw. Wielcy znów posiadacze, jak pisze *Germania*, po trzy i cztery robotnicze rodziny wieśniaków tłoczą do jednej chałupy, niezdrowej i ciemnej, jak handlarze niewolników duszących się na spodzie okrętów, z czego wynikają choroby, tyfusy głodowe i trawiące gorączki, a co najmniej przedwczesna starość o żebraczym kiju.—Oto położenie biednego naszego ludu na Górnym-Szlązku, przyznane przez dzienniki niemieckie zapominające w swym opozycyjnym ferworze, iż nie do każdej prawdy przyznawać się można.

⁂ Piszą z Rzymu do „Gazety Warszawskiej". „Dnia 21 z. m. o godzinie kwadrans na pierwszą, dał się słyszéć w całem mieście jakby wystrzał armatni, co wywołało niesłychane zdumienie, gdyż przed kwadransem już dano codzienny o samem południu wystrzał armatni z zamku Św. Anioła. Huk był nawet większy i połączony z podziemnym rozgłosem, podobnym do łoskotu gromu. Nie był to jednak grzmot, gdyż na pięknym włoskiego nieba błękicie najmniejszej nie było chmurki; jedni tedy myśleli, że to trzęsienie ziemi, drudzy że wybuch gazu, inni znów że mina wysadzająca gmach jakiś w powietrze.

Był to jednak tylko aerolit. Wiele osób będących na placu Św. Piotra, widziało jak spadał w kształcie ognistej kuli, po której wzniósł się słup dymu; padł w pobliżu Watykanu, w należącym do niego ogrodzie.—Astronomia wyjaśniła już znaczenie i drogi aerolitów, ale mieszkańcy Rzymu nie pytając lub nie zważając na wyjaśnienia naukowe, w każdym takim fenomenie upatrują jakąś przepowiednię, zapowiedź ważnych wydarzeń czy zmian. To też kto żył, chwytał *Libro dei sogni*, słynny sennik, w którym każdy przedmiot ma odpowiedni sobie numer. Układano amba, terna, kwinterna, a biura loteryjne cały dzień i noc oblężone, szturmem zdobywane były, gdyż obok wiary w sny, Rzymianie więcej jeszcze wierzą w przepowiednie zwiastowane przez jakieś niezwykłe, osobliwe wypadki — i w każdym takim razie rząd zyskuje kilkadziesiąt tysięcy dochodu więcej z loteryi, na którą stawiają wtedy wszyscy od żebraka do bogacza, przeróżne według sennika układając kombinacye liczb.

⁂ W potokach rosbachskich, pod Asze, w Czechach, podczas łowienia raków wyciągnięto wiele bardzo muszli z najpiękniejszemi perłami. Przed

laty trzystu, w miejsowości tej połów pereł odbywał się regularnie, i tak wtedy jak w późniejszych czasach połów ten był dość znaczny i odpowiedni przynosił dochód. W r. 1685 wysłano do Pragi 226 muszel, do Drezna 220, a do Wiednia 186 muszel z perłami znacznej wielkości. Wszystkie rzeki i potoki w których znajdowano perły, podzielone były na dziesięcioletnie okresy, to jest że w każdej rzece tylko co lat dziesięć wolno było łowić perły. Połów pereł zaniechany został w Czechach w końcu XVII w., z powodu ich wyczerpania; perły z okolic Asze dochodziły kiedyś do cen nader wysokich; Kurfirst saski za niewielki naszyjnik perłowy zapłacił przed 180 laty, 10,000 marek; naszyjnik ten znajduje się obecnie w Dreznie, w tak zwanym *Grüne-Gewölbe*.

*** Francuzki „Temps" zamieszcza obszerny artykuł p. t. *Les ateliers des aveugles*, w którym domaga się otwarcia we Francyi zakładów, w którychby niewidomi mogli pracować stale i systematycznie. Według wykazów statystycznych z 1876 roku we Francyi znajduje się blizko 32,000 niewidomych, dotąd jednakże nie pomyślano o przyniesieniu ulgi tym nieszczęśliwym, tak zasługującym na współczucie i opiekę, i Francya, jedna zdaje się w całej Europie, nie posiada warsztatów urządzonych wyłącznie dla niewidomych. A jednak liczne przykłady dowodzą, że dotknięci ślepotą, mogą i lubią pracować. I nauka nie jest także dla nich niedostępną; zmuszeni swem kalectwem do większego skupiania myśli, uważniej słuchają wykładów, więcej i prędzej z nich korzystają. Sławny publicysta Rodenbach, jeden z głównych przewodników rewolucyi belgijskiej, był niewidomy; Augustyn Thierry, dotkniety ślepotą, nie przerwał swoich studyów historycznych; pewien niewidomy od urodzenia, odebrał nagrodę na paryzkiej wystawie elektryczności, a dwaj sławni matematycy Sanderson i Plaingeon także byli niewidomi. Niewidomi posiadają doskonałą pamięć; w Japonii istnieje zakład dla niewidomych, którzy obowiązani są znać i pamiętać wszelkie fakta odnoszące się do dziejów krajowych — i doskonale wywiązują się ze swego zadania. Klinhaus, który zaniewidział w piątym roku życia, był sławnym rzeźbiarzem, inny rzeźbiarz, Vidal, został pozbawiony wzroku mając lat 15.

Pod względem praktycznego rozdzielenia zajęć przemysłowych pomiędzy ślepych, Anglii bezspornie należy przyznać pierwszeństwo. W 1877 roku 29 rozmaitych zakładów przemysłowych, dostarczało pracy 914 niewidomym, którzy wyrabiali towaru za milion parękroć sto tycięcy fr. i zarabiali rocznie 631 fr. na głowę, a w ostatnich latach, cyfry te znacznie się podniosły. Przed pięciu miesiącami, szwajcar Levanchy, przy pomocy kilku zacnych filantropów, otworzył w Paryżu zakład na małą skalę, w którym pracuje 30 niewidomych; zbierał ich po ulicach obiecując wyuczyć pracy i płacić zarobne. Nie wszyscy przystawali na jego propozycyą, gdyż niektórzy zbierają dziennie z żebraniny po kilka franków; wielu jednak poszło za nim chętnie, przekładając pracę nad poniżające wyciąganie ręki po jałmużnę. Trzydziestu pracuje we wspólnych zakładach, w lokalu wynajętym przez p. Levanchy, a 30 bierze robotę do domu. Wyrabiają oni koszyki, szczotki, kije, krzesła, kołdry, roboty tokarskie i stolarskie, a wyroby te chętnych znajdują nabywców, gdyż kalectwo tych biedaków zmusza ich do wykonywania wszystkiego według najściślejszych zasad naukowej metody, przez co roboty ich są trwalsze i lepiej wykończone.

*** Zaledwie Guiteau skończył haniebną ale zasłużoną śmiercią na szubienicy, już spekulanci amerykańscy starają się wszelkiemi sposobami rozszerzyć popularność zbrodniarza i w tym celu wymyślają różne wyroby, przezwane złowrogim jego nazwiskiem. Do najciekawszych z tych spekulacyjnych wytworów, zaliczyć trzeba zegar opatrzony sztuczną mechaniką, wyrobiony pomysłem pewnego zegarmistrza z Middleburg, w stanie Vermont. Zegar ten przedstawia wszystkie przejścia sprawy Guiteau. Najpierw ukazuje się stacya kolei żelaznej; po jednej stronie widać okno kasyera sprzedającego bilety, po drugiej telegrafistę zajętego wysyłaniem depesz, dalej służbę kolejową, tragarzy, publiczność — wszyscy w ruchu, co tworzy scenę nadzwyczaj ożywioną. Figurki wyrobione są z drzewa, wielkości dwóch cali. Gdy ma wybić godzina, kukułka kuka potrzebną liczbę uderzeń i w tejże chwili na peronie będącym widownią całej następnej sceny, ukazuje się prezydent Garfield w towarzystwie pana Blain. Daje się słyszeć dzwonienie, pociąg nadchodzi, z wagonu prędko wyskakuje Guiteau, i spostrzegłszy Garfielda, nabija broń i strzela; — pociąg wjeżdża na stacyę i wraz z nim znika cała grupa działających w tej scenie osób. Po chwili słychać znów sygnał, pociąg odjeżdża. Wtedy uchylają się maleńkie drzwiczki po lewej stronie i wychodzi z nich ksiądz z brewiarzem w ręku — stanął odmawiając modlitwy za zmarłych — nakoniec otwierają się drugie drzwiczki z prawej strony i przez nie widać wiszącego na szubienicy Guiteau.—Całe to przedstawienie trwa trzy minuty.—Gazety nie podają ceny sztucznego tego zegara, ani też czy znalazł już nabywcę.

*** Angielski komendant Cheyne, od paru już lat zajmuje się organizacyą wyprawy do bieguna północnego za pomocą balonów. Koszta obliczone na 80,000 dolarów, pokryć mają składki publiczne zbierane w Anglii i w Ameryce; w Stanie New-Jersey utworzył się już komitet do ich zbierania. Mają być zbudowane w Anglii trzy balony, kosztem 20,000 dol.; wyprawa zaś wyruszy z Nowego-Yorku. Komendant Cheyne zamierza zatrzymać się w zatoce św. Patryka, gdzie są na wybrzeżu ogromne pokłady węgla, zaledwie pokryte ziemią. Na tym pokładzie zbudują dom, ustawią przyrządy i wyrabiać tam będą wodoród niezbędny do napełnienia balonów. W temże miejscu, kapitan Nares przepędził zimę w latach 1875 i 1876, o 496 mil od bieguna. Zdaniem komendanta, okolice podbiegunowe stanowią rodzaj archipelagu, otoczonego zewsząd nigdy nietopniejącemi lodami i dlatego nie można do niego dopłynąć. Każdy balon zaopatrzony będzie w łódź, sanki i żywność na dni pięćdziesiąt; drut telegraficzny odwijający się w miarę posuwania, łączyć go będzie z główną stacyą. Balony będą tak obciążane, aby nie podnosiły się zbyt wysoko; aeronauci nigdy lądu nie stracą z oczu i wysiądą o dziesięć mil od bieguna. Do wyprawy tej należyć będzie 18 ludzi. Rząd duński wydał władzom grenlandzkim rozkazy, zalecające im, aby wszelkiej możliwej pomocy udzielały podróżnym. Ciekawa rzecz czy zamiar komendanta Cheyne da się urzeczywistnić?

*** Największą szybkością, powstać mogącą z przyczynienia się ludzkiego, odznacza się przebieg granatu, wyrzuconego z ciężkiego działa. Szybkość ta w chwili wystrzału wynosi 500 metrów na sekundę. Przewyższa zatem o 25 razy pęd pociągu kuryerskiego, ale czemże jest ta szybkość w porównaniu z prędkością z jaką ciała niebieskie odbywają swe obroty. Ziemia nasza w ruchu swym naokoło słońca przebiega 30,450 metrów, a słońce w przestrzeni 55,000 metrów na sekundę, zatem szybkość ziemi jest o 61 razy, a szybkość słońca o 101 razy większą od szybkości granatu. Ziemia przebiega swój okres, wynoszący 128 milionów mil, w przeciągu jednego roku; na przebieżenie takiej przestrzeni, granat lecący z nieustanną szybkością potrzebowałby 61 lat, zaś najśpieszniejszy pociąg kuryerski 1,200 lat. Jednakże ruch ciał niebieskich maleje znowu wobec szybkości światła i elektryczności. Odległość słońca od ziemi wynosi około 20 milionów mil; do przebieżenia tej przestrzeni, ziemia potrzebowałaby 5 milionów sekund, czyli 58 dni; słońce 2,728,000 sekund, czyli $31\frac{1}{2}$ dni, granat $9\frac{1}{2}$ lat, a pociąg kuryerski 190 lat. Światło zaś do przebieżenia tej przestrzeni, potrzebuje 8 sekund a elektryczność $5\frac{1}{4}$ sekundy.

Co się tycze elektryczności, trzeba odróżnić prąd elektryczny od iskry elektrycznej. Prąd elektryczny, używany jako motor w zastosowaniu praktycznem, daleko mniejszą posiada szybkość niż iskra. Prąd bowiem, w drucie żelaznym na 4 milimetrów grubym, przebiega 13,000 mil na sekundę; w miedzianym, mającym $2\frac{1}{2}$ mil. grubości—24,000 mil na sekundę, gdy tymczasem szybkość iskry biegnącej po drucie, obliczona jest na 62,000 mil na sekundę. Szybkość ta warunkowaną jest przymiotem przewodnim druta, zmienia się zatem w każdym pojedyńczym wypadku. Dźwięk przebiega w powietrzu 332 metrów na sekundę, w wodzie 1,494, w cynku 3,220, w miedzi 3,685, w stali 4,080 metrów. Uragan przebiega do 40 metrów na sekundę, burza 20, a zwykły wiatr 3 do 4 metrów. Gołąb' pocztowy przelata w godzinę 140 kilometrów, orzeł 115 kilom. Chart i angielski koń wyścigowy mogą przebiedz 25 metrów na sekundę, czyli 90 kilometrów na godzinę, a zatem tyle co najszybszy pociąg pośpieszny.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 3 Августа 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 33, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Równie bezowocznie przeszukał wszystkie podziemia — biedny ajent głowę tracił. Był przekonany że z powodu nagłego i nieprzewidzianego ich przybycia, Salter nie mógł umknąć z Labiryntu; przejrzał szczegółowo wszystkie krzaki i zarośla i nigdzie go nie było.

Stary Hopley nie opuszczał grzędy selerów — jak o tem zapewnił stojący na straży policyant;— gdy ajent zbliżył się do niego, wyprostował nieco swój pochylony grzbiet i podniósł rękę do zniszczonego swego słomianego kapelusza. Pan Enen odkłonił się nie zatrzymując się wcale — szkoda czasu, pomyślał, na wypytywanie się tego niedołężnego, głuchego starca.

Zachodziła tu więc jakaś tajemnica, której nawet on, przebiegły ajent policyjny, rozwikłać nie mógł. Można było jedynie myśléć, że przestraszony Salter może rzeczywiście ratował się ucieczką, i zdołał umknąć pomimo środków ostrożności jakie i on i policya w Baschman przedsięwzieli od paru już dni. Nie chciał jednak temu wierzyć — gdyż wydawało mu się to niemożebnem. Coż jednak się z nim stało? — pewnym był że przeszukał wszelkie zakątki Labiryntu—i nigdzie Saltera mi znalazł.

Drobiazgowe te poszukiwania zajęły wiele czasu; Anna ciągle zajęta była przygotowaniami do obiadu. Chodziła otworzyć kratę aby odebrać przyniesione mięso, a odniosłszy je wróciła do ogrodu wyrznąć kalafiory. Zabrawszy je w fartuch chciała wracać do kuchni, gdy pan Enen zatrzymał ją mówiąc:

— Chcę zadać ci parę pytań mistress Hopley, i żądam abyś mi powiedziała prawdę. Jeżeli nie uczynisz tego dobrowolnie, zmuszony będę odstawić cię do sądu, gdzie będziesz badana pod przysięgą. Prosty rozsądek nakazuje ci i mnie i siebie uwolnić od tej nieprzyjemności.

— Jeżli tylko będę w możności powiedzieć czego pan żądasz, uczynię to najchętniej, odrzekła spokojnie, jednak nie bez cienia niechęci — nie mogę przecież ukrywać iż oburza mnie to że wyrządzasz pan taką zniewagę mojej tak dobrej i najniewinniejszej w świecie pani. Czem mogła zasłużyć na takie ubliżenie? nie śmiałbyś pan go się dopuścić gdyby nie była tak osamotnioną. Przeszłym razem mówiłeś pan że poszukujesz jakiegoś Salter'a; zwiedziłeś i przeszukałeś cały dom od strychu do piwnic i podziemnych korytarzy, i przekonałeś się że nigdzie go nie ma—pomimo to dziś znów przychodzisz nie wiedzieć po co ...

— Więc pan ten co zachorował wczoraj nie był Salter'em? i nie do Salter'a wzywano z Bascham doktora Cavendish? rzekł z naciskiem pan Enen; spodziewam się że udzielisz mi pod tym względem dostatecznych objaśnień.

— Salter znowu!... na zbawienie mej duszy przysięgam że nie.

— Więc któż to był?

— Pewien pan, który pana nie może obchodzić.

— Pozwól mnie o tem sądzić...No proszę mów kto to był, a nie zapominaj że pytam w imieniu prawa i że obowiązkiem jest twoim mówić prawdę.

— Gentleman ten przybył na parę godzin odwiedzić panią, i nagle zasłabł...było to bardzo mocne zemdlenie, czy coś podobnego...dość że zdawało nam się że umiera. Z przestrachu potraciłyśmy głowy i zamiast jakkolwiek go ratować, pobiegłam co tchu do stacyi aby telegrafem zawezwać doktora Cavendish.

Ajent policyjny utkwił w nią wzrok badawczy, jakby pragnąc wyczytać jej myśli.

Nie spuściła oczu; cała jej postawa zdawała się znamionować spokój i szczerość.

— Gdzie ów pan się podział?

— Odjechał wczoraj wieczorem.

— Doprawdy! odjechał! odrzekł z szyderskiem niedowierzaniem.

— Tak, panie. Zaledwie doktór się oddalił, wstał, ubrał się mówiąc że czuje się już dobrze; widać nie wiele sobie robił z przebytego ataku, oznajmiając iż miewa je często. Przyznam się panu że zadziwiłam się niesłychanie, usłyszawszy że chce odjechać, gdyż nie przypuszczałam że mu sił starczy na to. Ale widać musiało mu na tem nadzwyczaj wiele zależyć.

— Jakże się pan ten nazywa?

— Tego nie wiem, bawił tylko parę godzin i nie wymieniono przy mnie jego nazwiska.

— Słuchaj, mistress Hopley, jeżeli mi powiesz skąd ten pan przyjechał i jak się nazywa, dam ci pięć suwerenów.

Otworzyła szeroko oczy, jakby olśniona wielkością obiecanej nagrody.

— A! gdybyż to było w mej mocy! jakże pragnęłabym pozyskać tak wielką sumę pieniędzy, bo wszystko mi się zdaje że Hopley bardzo już niedługo będzie mógł pracować i chciałabym koniecznie zebrać jakiś fundusik. Nie jestem pewna, ale zdaje mi się że gentleman ten przybył z Londynu.... i że zamyśla popłynąć do dalekich krajów.... bo coś mówił z panią o morzu... Słyszałam wyraźnie iż życzyła mu szczęśliwej podróży i osiągnienia zamierzonego celu.

Ajent policyjny zamyślił się; prawdaż to czy zmyślenie? Po chwili zapytał:

— No, a nazwisko tego gentlemana, mistress Hopley?

— Powtarzam panu że nie wymieniono go przy mnie; przybył zupełnie niespodziewanie — inaczej pewnie pani powiedziałaby mi kogo się spodziewa.... Słyszałam że pani nazywała go Edwardem — ale to widocznie tylko imię jego. Zdaje się że to jakiś krewny mojej pani.

— Ciekawym coby mi też powiedział o tem Hopley? rzekł badawczo patrząc jej w oczy.

— Zdaje mi się że nie będzie mógł nic panu powiedzieć o tem — ale zapytaj go pan jeżli chcesz. O ile wiem, nie widział wcale tego pana, a ja nic nie mówiłam mu o nim. Jeżeli jednak podoba się panu z nim rozmówić, chyba dopomogę panu, bo sam i przez miesiąc nie zdołałbyś się z nim porozumieć.

— Cóż cię powoduje do tego że ukrywasz przed mężem co się dzieje w domu?

— Nie ukrywam i nie mam potrzeby nic ukrywać przed nim. Tym razem wyjątkowo nie wspomniałam o bytności owego pana, ale cały dzień wczoraj pracowałam jak koń, byłam więc tak zmęczona że mi się gadać nie chciało — tem więcej że nie łatwe to zadanie rozmawiać z moim biednym starym....Wierzaj mi pan to całkiem co innego niż rozmowa z ludźmi co słyszą i rozumieją dobrze.

Nie mógł nie przyznać że miała słuszność. Zdawała się uczciwa i szczera — a jednak założyłby się choćby o swoją sławę wytrawnego i zręcznego ajenta policyjnego, że zachodziła tu jakaś nierozwikłana tajemnica i chory nie opuścił Labiryntu. Jakiś instynkt czy przeczucie mówiło mu że ten człowiek jest gdzieś blisko niego—dosyć byłoby mu wyciągnąć rękę we właściwym kierunku aby go pochwycić. Chodził po trawniku wielkiemi krokami, zamyślony głęboko, i Anna Hopley widząc że badanie, co do niej, już skończone, pobiegła do kuchni z koszykiem kalafiorów.

Postawiła koszyk na stole, i wyjrzała nieznacznie przez okno. Ajent rozmawiał ze swymi pomocnikami, których przywołał do siebie; należało więc korzystać z tej chwili. Zdjęła prędko trzewiki — jakkolwiek niepodobna byłoby usłyszeć jej kroków stojąc na trawniku — wbiegła szybko na schody, i otworzyła drzwi do saloniku z którego przerażona i dręczona niepokojem mistress Grey, nie śmiała wyjść jeszcze.

— Muszę uwiadomić panią co powiedziałam na zadawane mi pytania przez tego policyanta, bo może i panią zapyta o toż samo, i byłoby bardzo źle gdyby każda z nas mówiła co innego. Czy mnie pani rozumie?

— Rozumiem; mów dalej Anno.

— Gentleman chory przyjechał do nas wczoraj całkiem niespodziewanie, i zachorował nagle; przerażone tem wysłałyśmy telegrafem do doktora Cavendish. Gentleman wstał wkrótce po oddaleniu się doktora, utrzymując że jest już znacznie lepiej, lekceważąc sobie przebyty atak, zapewniał że przebył już nie jeden równie gwałtowny. Wyjechał w parę godzin później; nie mógł pozostać dłużej; wybierał się w jakąś daleką podróż, o ile mi się zdawało, ponieważ pani życzyła mu szczęśliwej podróży i szczęśliwego przybycia na miejsce. Powiedziałam że nie wiem jak się nazywa, ale ponieważ pani nazywała go Edwardem, wnoszę z tego że musi być jej krewnym.... Czy pani będzie pamiętać to wszystko?

— Tak, będę... ale odejdź już Anno... pomyśl coby to było gdyby zastał nas razem ah! odejdź prędko Anno. Umieram z obawy.

— Trzeba koniecznie aby się pani uspokoiła i starała się zapanować nad sobą, odpowiedziała Anna z wyrazem szczerej troskliwości. Przyniosę pani jajko ubite z winem, to panią wzmocni trochę. Ale, jeszcze jedno... jeżli się będzie wypytywał, można powiedzieć że to był brat pani albo też jej męża... i niech się pani nie lęka, założyłabym się o wszystko co posiadam że się pani nie stanie nic złego, dwa razy już byli o kilka kroków od niego, i...

Usłyszały jakiś szmer; Anna umilkła, zamknęła cicho drzwi, zbiegła do kuchni i włożyła trzewiki. Wszystko to zabrało jej zaledwie minutę czasu, i gdy jeden z policyantów zaczął chodzić tam i na-

powrót wzdłuż domu, zaglądając przez okna, ona już stała przy pompie znajdującej się w kuchni, pompując wodę na kalafiory o ile mogła najhałaśliwiej.

Anna Hopley nie omyliła się w swych przypuszczeniach; pan Enen udał się do saloniku, zapukał, a gdy mu pozwolono wejść, zaczął się wypytywać mistress Grey o chorego gentleman'a. Chciał tym sposobem otrzymać potwierdzenie tego co usłyszał od służącej, lub też znaléźć jakąś sprzeczność w zeznaniach, dowodzącą że chciano go oszukać, ale mistress Grey pamiętała dobrze co jej Anna powiedziała, i dla tego też pomimo że zbladła bardzo i drżała jak listek, nie splątała się ani raz w odpowiedziach. Musiała nawet improwizować niektóre szczegóły, ponieważ ajent żądał od niej ściślejszych odpowiedzi niż od Anny Hopley.

— Jak się nazywa ów gentleman?

— Grey.

— Czy to krewny pani?

— Brat męża.

— W jakim celu tu przybył?

— Aby pożegnać się ze mną przed wyjazdem do Australii.

— Z którego portu miał wypłynąć?

Na to nie umiała odpowiedzieć; zapomniała... a! przypomniała sobie.. w Gravesend. — Czy odwiedzał ją często?—Bardzo rzadko: podróżował ciągle i nigdy nie przebywał długo w jednem miejscu.

— Czy stan zdrowia jego dozwalał mu wybierać się w tak daleką podróż?—Zdawało jej się że nie; prosiła go aby zatrzymał się u niej choć do następnego dnia, lecz nie chciał na to przystać, gdyż jak mówił, nie zdążyłby przybyć do portu przed odpłynięciem statku, na którym już zamówił sobie miejsce.—Czy przyjechał do Foxwood koleją?—Bez wątpienia; czemże mógłby tu przyjechać jeżli nie koleją? Którymże pociągiem odjechał?—Wieczornym: o ile jej się zdaje, wyszedł z Labiryntu już po ósmej.

— Już czas aby moja pani posiliła się trochę, rzekła Anna Hopley wchodząc.—Sądzę że nie zachodzi co do tego żadna przeszkoda?

Pan Enen udał że nie zrozumiał zwróconego do siebie docinku. Anna Hopley postawiła szklankę i odeszła, ale biedna mistress Grey była zbyt cierpiąca i znękana aby mogła pomyśléć o jakimś posiłku, i nie przysunęła nawet szklanki do ust.

— Czy to prawda że pan szuka tu jeszcze tego Filipa Salter'a? zapytała spoglądając niespokojnie na ajenta policyi.

— Najzupełniejsza prawda, odpowiedział.

— I pan sądzi rzeczywiście że on się tu ukrywa?

— Tak, założyłbym się o własną głowę że się tu znajduje.

Pochyliła głowę z wyrazem zniechęcenia, czując że nie potrafi wybić mu tego z głowy; postanowiła jednak spróbować jeszcze.—Pan Enen spoglądał na nią z pod oka.

— Nie wiem już jakiego mam użyć sposobu aby przekonać pana że się mylisz, mogę tylko zaręczyć panu uroczyście, tak uroczyście jak gdybym miała za chwilę stanąć przed sądem Boga że nie wiem nic o Salter'ze, i że o ile mi wiadomo, nie przybywał tu nigdy. Czemuż pan nie chce mi wierzyć i narusza mój spokój?

Pan Enen zaczął tylko nabierać przekonania, że będzie zmuszonym nie naruszać już nadal jej spokojności. Dwa razy zdobył szturmem fortecę to jest wszedł niespodziewanie do jej domu, dwa razy przetrząsnął w nim wszystkie kąty...i napróżno. Posiadał co prawda rozległą władzę, ale prawo nie upoważniało do powtarzania podobnego wdzierania się przemocą do czyjegoś domu, mógłby więc ściągnąć na siebie odpowiedzialność za nadużycie powierzonej mu władzy. A jednak ten człowiek ukrywa się w Labiryncie; był tego równie pewnym jak istnienia słońca oświecającego ziemię... tylko na nieszczęście nie mógł trafić do jego kryjówki. Zadawał sobie pytanie czy tam nie ma jakich lochów lub przejść podziemnych, prowadzących do mieszkania Smith'a?

Tak więc to powtórne poszukiwanie okazało się równie bezskutecznem jak poprzednie, i nie pozostawało panu Enen nic więcej jak tylko oddalić swych podwładnych i uznać się zwyciężonym.

XVI.

W rynnach i ściekach.

Wyszedłszy z labiryntu, pan Enen zaraz zwrócił się na drogę wiodącą do stacyi kolei, aby tam zasięgnąć wiadomości co do podróżnych którzy wysiedli na stacyi w dniu poprzednim lub kupowali tam bilety, nie dla tego jednak aby przywiązywał wiarę do bajeczki którą mu opowiedziano, lecz że uważał to za swój obowiązek. Wkrótce spotkał doktora Cavendish jadącego z przeciwnej strony który go poznał i zatrzymał konie.

— Cóż znaczy ta niedorzeczna bajka o wyjeździe mego pacyenta? zawołał z gniewem.

— Opowiedziano mi ją także przed chwilą, odpowiedział pan Enen, ale nie wierzę temu wcale.

— Jakto?... więc pan nie wiedział nic o jego zamiarach... nie namówił go pan aby wyjechał tak nagle?

— Zaręczam panu że nie przyłożyłem się bynajmniej do tego. Udałem się dziś rano do Labiryntu w celu... zobaczenia się z nim, ale doznałem przykrego zawodu... ptaszek już uleciał.

— Mogę panu zaręczyć że stan jego zdrowia nie dozwalał mu na krótką nawet podróż, odezwał się znów doktór. Może to pociągnąć za sobą najzgubniejsze następstwa.

— O! bez wątpienia, gdyby wyjechał rzeczywiście, ale ja temu nie wierzę.

— Jakto? nie rozumiem pana? Proszę powiedzieć mi wyraźnie czy pojechał czy nie?

— W Labiryncie zapewniają że wyjechał, ale jestem przekonany że to nie jest prawdą. Istnieją ważne powody dla których nie życzono sobie abym się z nim widział, dla tego też ukuto tę bajeczkę dziś rano, gdy pytałem się o niego.

— W każdym razie musieliby ją ukuć jeszcze wczoraj, powiedział doktór, gdyż list uwiadamiający mnie o wyjeździe mego pacyenta, został oddany na pocztę wczoraj wieczorem, a odebrałem go dziś bardzo rano. Mistress Grey pisała że nie chcąc abym się trudził daremnie do Labiryntu, uprzedza mnie że chory był zmuszonym wyjechać w parę godzin po mojej u niego bytności. Nie korzystałem jednak z tej przestrogi jak pan widzi, dodał z gniewem doktór, gdyż chciałem przekonać się naocznie jak rzeczy stoją. Ten człowiek popełnił największe szaleństwo jakie popełnić można jeżeli wczoraj wstał po to z łóżka aby się przetrząść koleją żelazną. Ruszaj, James!

Groom zaciął konia i powozik potoczył się szybko: Pan Enen postanowił zaczekać na doktora a bytność swą na stacyi odłożyć na później. Ten list pisany wczoraj był dla niego nową zagadką.

Pan Cavendish ukazał się wkrótce, i ajent zbliżył się do niego gdy wsiadał do powozu.

— I cóż doktorze, czy widziałeś swego pacyenta?

— Gdzie tam, wyjechał rzeczywiście. Powiedziano mi że zamierza popłynąć gdzieś na koniec świata, i musiał wsiąść na okręt w oznaczonym czasie, aby nie tracić kosztów przewozu, które już zapłacił.

— Otrzymałem co do słowa takąż samą odpowiedź, rzekł ajent. Co prawda, łatwo się było domyśléć że tak będzie, dodał w myśli.

— Jest w tem jednak coś zupełnie dla mnie niezrozumiałego, odezwał się doktór. Chory nie wyrzekł jednego słowa dozwalającego się domyślać że zamierza odbyć jakąś podróż, lub że ją odbył obecnie, choćby tylko z Londynu do Foxwood. Przeciwnie, zdawało mi się z tego co mówił, że od niejakiegoś czasu prowadzi życie bardzo sedentaryjne i nie ma zamiaru rozpocząć ruchliwszego. Ja z mej strony zalecałem mu aby unikał wszelkiego znużenia i żył o ile można najspokojniej. Dziwię się także bardzo że nie powiedział szczerze iż się wybiera w tak daleką podróż morską.

Pan Enen nic na to nie odpowiedział; w umyśle jego zaczynały powstawać różne domysły i wątpliwości: czyżby ten człowiek wyjechał rzeczywiście? Czy uciekł za pomocą jakiegoś przebrania? nie, trudno było uwierzyć temu.

— Ale, pan zapomniał powiedzieć mi swego nazwiska, odezwał się doktór wsiadając do tilbury.

— Czy być może, abym był do tego stopnia roztargnionym? Nazywam się Tatton.

Doktór wychylił się z powoziku gdy groom zapinał fartuch z przeciwnej strony, i rzekł cicho:

— Wspominałeś wczoraj, panie Tatton, że ten gentleman znajduje się w bardzo kłopotliwem położeniu, otóż przyszło mi na myśl czy to właśnie nie jest powodem tak nagłego wyjazdu... może obawiał się przedłużać tu swój pobyt.

— I ja toż samo zadałem sobie pytanie, odrzekł ajent, najniezawodniej jeżli uciekł stąd tak nagle, to wiedziony obawą...

Tilbury ruszył — pan Enen patrząc za oddalającym się stał chwilę na miejscu, odwróciwszy nareszcie głowę ujrzał pana Filipa Smith'a siedzącego w oknie z fajką w ustach, zapatrzonego w roztaczający się do koła krajobraz. Chciał zwrócić się ku domkowi Klematys, gdy wtem ktoś zawołał:

— Panie Tatton.

Odwrócił się prędko w tę stronę i ujrzał Karola Andinnian idącego za nim. Twarz sir Karola zdradzała niewysłowione oburzenie.

— Czy prawdą jest co mi powiedziano, panie Tatton, rzekł nazywając ajenta rzeczywistem jego nazwiskiem,—czy prawda to, powtórzył że znowu odbyłeś pan powtórną rewizyę domową w Labiryncie? Służący mój powiedział mi iż widział pana wychodzącego ztamtąd w towarzystwie dwóch policmenów.

— Tak jest rzeczywiście, sir Karolu, gdyż jestem przekonany że Salter jest tam a przynajmniej był wczoraj. Wątpić nawet nie można iż ów chory do którego zawezwano telegrafem doktora Cavendish, to nikt inny jak Salter. Doktór skreślił tak doskonały jego rysopis, że poznałem go od razu.

Cóż mógł na to powiedzieć sir Karol? Jak tu zaprzeczyć że chory był w Labiryncie? Na nieszczęście wzrostem i kolorem włosów Adam zupełnie był podobny do Saltera.

— Niepodobna, sir Karolu, abyś sam nie widział że w tem ukrywa się jakaś tajemnica, mówił detektif, który zapewniony przez nadintendenta Game, był najmocniej przekonany że baronet z Foxwood-Court ani trochę nie troszczył się o Salter'a i szło mu jedynie o niezakłócanie spokoju jego lokatorki. Niezaprzeczenie kryje się w Labiryncie ktoś unikający ludzi lub co najmniej ajentów policyi; przypomnij sobie tylko, sir, owego gentlemana w czar-

nym fraku którego widział doktór i dozorczyni a obecnie znów tego wczorajszego chorego — wszak nie były to jakieś nadprzyrodzone istoty, sir Karolu, więc któż to mógł być?

Bojąc się wyrzec jakiegoś nieostrożnego słówka, sir Karol nic na to nie odpowiedział. Te bolesne coraz nowe przejścia i obawy, wyczerpywały jego siły. Nie śmiał zapytać ajenta czy nie spotkał czasem Adama.

— Co się tycze owej bajeczki z tysiąc nocy i jedna, ukutej przez Annę Hopley i mistress Grey — że ów chory gentleman był to jej krewny który przybył rannym a odjechał wieczornym pociągiem — o tem i mówić nie warto, rzekł pogardliwie ajent policyjny — ludzie tak niebezpiecznie chorzy nie bawią się w wycieczki koleją żelazną a tem bardziej nie wybierają się w dalekie morskie podróże... Jeźli doktór Cavendish się nie myli, ów chory nie pożyje może jak z parę tygodni... a w takim razie czyż podobna aby nie znał swego stanu?

— Słowa te bólesnem echem odbiły się w sercu Karola.

— Czy tak powiedział doktór Cavendish, panie Tatton?

— Tak, sir Karolu, to też wracając do naszej rozmowy, ręczę że człowiek ten jest jeszcze w Labiryncie, a jest nim nikt inny jak Salter.

— Do czegóż doprowadziła pana dzisiejsza rewizya?

— Do niczego, równie jak poprzedzająca. Skoro zapytałem gdzie jest ów chory gentleman, opowiedziano mi bajeczkę bez żadnego sensu, ukutą, ma się rozumieć już zawczasu, na wszelki wypadek.

— Powtarzam panu raz jeszcze, panie Tatton że nie znajdziesz nigdy Salter'a w Labiryncie, dla tej prostej przyczyny że go tam nie ma. Nie podpada to dla mnie najmniejszej wątpliwości. Obowiązek nakazuje mi położyć koniec tym ciągłym przykrościom na jakie jest wystawiona moja lokatorka, mistress Grey, i jeźli pan nie zechce nadal szanować jej spokojności, spróbuję czy prawo nie zmusi go do tego. Nie sądź pan abym to mówił przez jakąś do niego niechęć, pragnę jedynie uchronić mistress Grey od prześladowania.

— Rozumiem, odpowiedział Tatton, ależ nie ma obrazy tam gdzie nie było zamiaru obrażenia, sir Karolu; chcąc poznać trudność mego położenia, trzebaby koniecznie znajdować się na mojem miejscu. Daję słowo że nigdy jeszcze w życiu nie wywiedziono mnie tak w pole! *Salter znajduje się w Labiryncie.* Inni widzieli go, rozmawiali z nim, a ja nie mogę znaléźć go pomimo najstaranniejszego poszukiwania.—W tej chwili przyszło mi na myśl że może jest jakieś podziemne przejście z Labiryntu do domku rządzcy, dzięki któremu, Salter w razie niebezpieczeństwa, może szukać schronienia u swego kuzyna. Radbym sprawdzić o ile to przypuszczenie jest uzasadnione.

— Może pan sprawdzić to natychmiast, rzekł Karol na pół żartem. Nie ma nic więcej przekonywającego nad świadectwo własnych oczu. Jako właściciel tego domku, udzielam panu pozwolenie, a jestem pewnym że mieszkaniec jego, pan Smith pójdzie za moim przykładem. Chodźmy, może pan natychmiast prosić go o upoważnienie.

Ajent przyjął skwapliwie pozwolenie i przeszli na drugą stronę drogi, a pan Smith widząc ze zbliżają się do furtki, pośpieszył naprzeciwko nim z fajką w ręku obsadzoną na długim cybuchu. Sir Karol wytłomaczył mu w kilku słowach po co przyszli: pan Tatton, ajent policyi, powziął podejrzenie że w tym domku znajdują się jakieś kryjówki i przejścia podziemne, i dla tego pragnie rozpocząć w nim poszukiwania!

Na twarzy rządzcy ukazał się wyraz głębokiego zadziwienia, jednak po chwili odezwał się spokojnie:

— I owszem, niech pan szuka, nie mam nic przeciwko temu. Niech pan przetrząśnie wszystkie kąty i kąciki, obejrzy rynny i dachy, zejdzie do piwnic i ścieków, a gdyby to zadziwiło moją służącę Betty, niech jej pan powie że jesteś blacharzem.

— Pan Enen korzystał z pozwolenia, a Karol i rządzca pozostali w saloniku.

— Czy on szuka sir Adama? zapytał cicho pan Smith.

— Nie, pod tym względem nie domyśla się niczego. Szuka innego zbiega o którym mówiłem już panu. Ale bezpieczniej nie mówić o tem obecnie.

Rządzca położył fajkę na stole; Karol stanął we framudze otwartego okna; w tejże chwili wbiegła do pokoju stara Betty, jedyna służąca p. Smith; cała jej postać zdradzała niewysłowiony przestrach. Betty miała słuch bardzo tępy.

— Czegóż się boisz, krzyczał głośno pan Smith, chodzi tylko o zrewidowanie ścieków, rynień i kanałów.

Ajent policyjny przekonał się bardzo prędko iż nikogo nie ma i nikt nie mógłby ukrywać się w domku Klematyt, którego cienkie i lekkie ściany nie dozwalały nawet przypuszczać możliwości jakichkolwiek przejść lub skrytek. Prędko też wrócił do saloniku tłomacząc się iż nie miał żadnych poważnych podejrzeń, i tylko chęć jak najsumienniejszego spełnienia swego obowiązku, skłoniła go do odbycia domowej rewizy. Nie poprzestając na tem przeproszeniu, pan Smith rzekł surowo:

— Sądzę że nasyciwszy swoją ciekawość, zechcesz pan przynajmniej powiedzieć mi nazwisko osobistości która według pana ma ukrywać się pod moim dachem? Sir Karol mówił mi że poszukujesz pan jakiegoś zbrodniarza.

Słowa te pan Smith powiedział bardzo grzecznie ale z pewnym odcieniem szyderstwa, co dozwoliło policmenowi domyśléć się że sir Andinnian zawiadomił go o co chodzi, nie widział więc potrzeby ukrywania prawdy.

— Ponieważ, jak widzę, wiesz pan że poszukujemy Filipa Salter, nie powinno pana dziwić zbytecznie iż przypuszczałem że mógłby w danym razie ukrywać się w tym domu.

Niewymowne zadziwienie jakie odbiło się w oczach, słowach i ruchach pana Smith'a, przekonało najdowodniej patrzących na niego iż była to dlań odpowiedź najzupełniej nieprzewidziana.

— Filipa Salter!.. zawołał, patrząc z kolei to na policmena, to na sir Karola, z miną człowieka niedowierzającego własnym uszom — więc Filip Salter powrócił... wiadomo policyi że jest w Anglii.. że przybył w te strony?..

— Wiadomo nam *że jest tu*, odrzekł grzecznie policmen, a przypuszczamy że się ukrywa w Labiryncie. Czy nic pan o tem nie wiesz?

Pan Smith padł na stojące obok niego krzesło— skutkiem nadmiaru osłupienia nogi zachwiały się pod nim.

— Przysięgam na Boga! że jesteście w błędzie, zawołał; Saltera nie ma i nigdy nie był w Labiryncie; nie słyszeliśmy nigdy aby miał wrócić do Anglii.

— Więc wiadomo jest rodzinie że opuścił Anglię?

— Tak... a przynajmniej mieliśmy ważne powody przypuszczać że odpłynął do Ameryki niezadługo po tej nieszczęsnej ucieczce. Co prawda nie ma na to innego dowodu, prócz tego iż od czasu zniknięcia rodzina nie ma żadnych wiadomości, ani wprost od niego ani jakąś uboczną drogą.

— Od czasu ucieczki?

— Tak. Gdyby był w Anglii zgłosiłby się niezawodnie do nas, choćby z żądaniem wsparcia, bo skutkiem przestępstw swoich pozbawił się wszelkich środków utrzymania, a przecież powietrzem żyć nie może. Zarówno jak my tak i pan możesz być przekonanym, że skoro raz udało mu się uciec szczęśliwie z kraju, nie byłby pewnie tak szalonym aby do niego wracać.

Ajent policyjny tyle już doznał zawodów, iż gotów był prawie uwierzyć słowom p. Smith'a, i przypuścić że w całej tej sprawie Foxwoodzkiej Salter odgrywa rolę jakiegoś nieopochwycalnego mytu — lecz w takim razie któż był ów tajemniczy człowiek w Labiryncie?...

Przeprosiwszy pana Smith już miał odejść, gdy tenże zapytał go:

— Czy możesz pan powiedzieć mi co było powodem podejrzenia że Salter ukrywa się w Labiryncie?... a nawet że jest w Anglii?

Ajent policyjny miał wiele bardzo taktu — inaczej nie odpowiedziałby swemu stanowisku — dał jakąś wymijającą odpowiedź, ukłonił się i wyszedł, gdyż przyczyną wznowienia zaniedbanego śledztwa, był właśnie obecny tam sir Karol Andinnian.

Sir Karol czuł to sam dobrze, to też wracając do domu kilkakrotnie zdejmował kapelusz, dla otarcia potu płynącego kroplami po rozpalonem czole. Przypomniał sobie ze czytał gdzieś opis męczarni wymyślonej w dawnych barbarzyńskich czasach. Zamykano nieszczęśliwego więźnia w obszernej celi, skazując na to aby patrzył codziennie jak za pomocą tajemniczego urządzenia mury jej się ścieśniają i zbliżają stopniowo ku sobie, aż do chwili gdy ścisną go i zgniotą. Otóż biednemu Karolowi zdawało się teraz że ściany świata zacieśniają się w około niego, a raczej około nieszczęśliwego jego brata, stokroć mu droższego nad własne życie, a w tak strasznem zostającego położeniu.

Tak w domu jak za domem nic nie osładzało jego smutków i niepokojów; w domu czekało go zmartwienie i obojętność, za domem obawy i udręczenia — nigdzie pociechy ani spokoju. Sądził że zastanie przed domem zaprzężony *poney-chaise*; właśnie gdy zszedł już aby zawieźć żonę na spacer, Hewitt szepnął mu słów kilka, i zaniepokojony pobiegł zasięgnąć wiadomości. *Poney-chaise* odjechał; Maclean ustawiał kwiaty na murawie.

— Czy lady Andinnian pojechała? zapytał zadziwiony, gdyż wiedział że nie nauczyła się jeszcze powozić.

— Milady odesłała powóz i przechadza się po ogrodzie, odpowiedział ogrodnik.

Znalazł żonę siedzącą w głębi odległej alei, z książką w ręku na pozór zajętą czytaniem. Łucya bardzo się zmieniła; rysy się wyciągnęły, wychudła twarz napiętnowana była głębokim smutkiem, zdradzającym nieustające udręczenia. Karol widział zaszłą w niej zmianę; nie pochwalał jej postępowania, ale zarazem czuł to dobrze iż on to był przyczyną cierpień żony.

— Daruj, Łucyo, że czekałaś na mnie — ale musiałem niezwłocznie rozmówić się ze Smith'em w nader ważnej sprawie. Kazałaś powozowi odjechać?

— Tak, poney niecierpliwił się stojąc tak długo, kazałam go odprządz. Nie dbam zupełnie o tę przejażdżkę.

Powiedziała to zimno, prawie pogardliwie — ale bądźmy pobłażliwi. Charakter jej łagodny z na-

tury, ciężkiej poddany był próbie, a jak mniemała, postępowanie Karola usuwało wszelką nadzieję pojednania.

— Jednakże powinnabyś codziennie używać przejażdżki, odrzekł tylko,

Podniosła głowę uderzona przygnębieniem odbijającem się w tych słowach — głos Karola zdradzał bezbrzeżną rozpacz. Niechęć jej znikła w jednej chwili, ustępując miejsca żywemu współczuciu.

— Zdajesz się bardzo cierpiący?

— Tak, a cierpienia moje są tak straszne, iż pragnę gorąco aby śmierć uwolniła mnie od nich.

— Czy chcesz powiedzieć że rozłączenie nasze jest cierpień twych przyczyną? spytała po chwili.

— Tak, gdyż tak zwiększa ciężar moich trosk, i udręczeń, iż niekiedy zdaje mi się że zbraknie mi sił do ich znoszenia.

Łucya milczała rozmyślając nad tem jaki jest rzeczywiście jej obowiązek. O! gdyby nie ta nieustannnie wyrządzana jej zniewaga, z jakąż radością rzuciłaby się w objęcia męża, wołając serdecznie: „Masz mnie, Karolu, wszak jestem twoją żoną!”

— Jeżli to rozłączenie nasze doprowadzi do zupełnej publicznej separacyi, wtedy doszedłszy dojrzałego wieku, wspominać sobie będziesz z goryczą jak okrutnie i bezlitośnie postępowałaś ze mną.

— Ależ ja nie żądam separacyi, wyszeptała.

— Jednak niezadługo może będziesz zmuszona powziąć stanowcze co do tego postanowienie, a to w dniu gdy już niczego od losu spodziewać się nie będzie można, w dniu w którym tajemnica ta wyda się przed światem.

— Nie rozumiem dobrze co chcesz powiedzieć, rzekła Łucya.

— Zaprzestańmy tej rozmowy, rzekł Karol, wszak wiesz o czem mówię: a im mniej mówić o tym przedmiocie, tem bezpieczniej.

— Mówisz tak, Karolu, jakbyś mnie obwiniał, rzekła smutnie.

— Własne serce twoje odpowie ci że mam słuszność.

— Ależ to tak ciężko znosić...

— Zapewnie, zostałaś mocno dotknięta w swej dumie.

— O! nie o dumę tylko tu chodzi, odrzekła żywo.

— Czemże jest twoje cierpienie w porównaniu z męczarniami jakie ja znoszę? odrzekł silnie wzruszony. Ja przynajmniej nie naśladowałem ciebie, nie starałem się uczynić położenia twego trudniejszem jeszcze do zniesienia... Według mnie należało wspólnie dźwigać przygniatający nas ciężar — wtedy obojgu wydałby się lżejszym...

Tak, i jej niekiedy przychodziła myśl taka — odganiało ją jednak poczucie zniewagi wyrządzonej jej niewieściej godności.

— Czy tak zawsze będzie, Karolu?

— Bóg jeden wie jak i kiedy się skończy... Bóg mi świadkiem że starałem się zawsze serdecznie i uczciwie spełniać wszelkie moje względem ciebie obowiązki... i nic nie mam sobie do wyrzucenia... chyba tylko że ożeniłem się z tobą kiedy... kiedy należało mi wyrzec się twej ręki... Ale też srodze za błąd ten pokutuję.

Mówił to jak człowiek wszelkiej już pozbawiony nadziei; głowa smutnie opadła mu na piersi, błędne spojrzenie bezbrzeżną zdradzało rozpacz. Łucya kochała go bardzo, to też boleśnie wzruszona, położyła rękę na jego ramieniu.

— Za surowo sądziłam ciebie, Karolu; przebacz mi, i niech mi Bóg przebaczy!...

Nic nie odpowiedziawszy, wyciągnął ku niej rękę—ona położyła na niej swoją, i tak dłoń w dłoni siedzieli obok siebie w milczeniu. Na drzewie stojącem naprzeciwko nich, siedział ptaszek świergocząc wesoło, lekka chmurka zasępiła pogodny błękit nieba.

— Jednak... przyznaj sam, Karolu, wyszeptała, że nie godziło się... że nawet jest to nieprzyzwoicie aby... oni zamieszkiwali w Labiryncie.

— Po cóż zmuszasz mnie daremnie do powtarzania co już tyle razy ci powiedziałem, że oddałbym życie aby go opuścić mogli... Zresztą, obawiam się że to już nie długo potrwa, niestety!... w ten lub ów sposób... zbliża się straszna katastrofa...

— Jaka?

— Wszystko się wykryje... pociągając za sobą poniżenie, rozpacz i hańbę... Ilekroć przyjdzie mi to na myśl, boleśniej odczuwam winę jaką popełniłem żeniąc się—ale nie znałem tych powikłanych trudności... nie przypuszczałem zagrażających nam nieszczęść. Przebacz mi więc, Łucyo, zbłądziłem ale przez zupełną prawie niewiadomość.

Mówiąc to uścisnął lekko rękę żony — oczy jej zalane były łzami. Wstał chcąc odejść; zatrzymała jego rękę i rzekła wlepiając w niego zapłakane oczy:

— Karolu, czy długo jeszcze takie życie wieść będziemy?

— Nie mogę odpowiedzieć na to co wyłącznie od ciebie zależy, Łucyo.

Zamienili długie spojrzenie zwątpienia, miłości i współczucia — ręce ściśle złączone rozdzieliły się zwolna, i Karol odszedł ku domowi, a Łucya zostawszy samą tak głośnem zaniosła się łkaniem, iż przestraszony ptaszek przestał śpiewać, zerwał się z gałęzi i odleciał daleko.

XVII.

Uniknął nieszczęść życia.

Straszne zamieszanie panowało w domu wdowy Jinks, biedna traciła głowę, młode owieczki biegały jak szalone — pasterz ich zasłabł.

W saloniku przed kominkiem spoczywał na sofce wielebny Gwidon Cattacomb w haftowanych złotem pantoflach, na równie bogato haftowanej poduszce. Salonik przeciążony najróżnorodniejszemi religijnemi i światowemi ozdobami, wyglądał jakby jakieś muzeum na małą skalę. Jakoś gardło wielebnego pastora nie było w porządku, czoło i ręce były rozpalone Byłoż to tylko lekkie zapalenie gardła czy początek difteritis? Każda z obecnych pań dowodziła czego innego — na to się tylko zgadzały że należy niezwłocznie przedsięwziąć środki ratunku. Pacyent, łagodny jak baranek, chętnie poddawał się wszystkiemu. Choroba pasterza tem boleśniej dotknęła pobożne duszyczki, iż nazajutrz odbyć się miało jakieś bardzo okazałe nabożeństwo w kaplicy ś. Hieronima — koniecznie więc trzeba było śpieszyć z wyleczeniem głównego oficianta. Wprawdzie i Damon Puff był bardzo dobrze i miał u nich łaski — ależ to zawsze nie to co wielebny Gwidon Cattacomb.

Uważano wdowę Jinks za najkompetentniejszą doradczynię, tak z powodu wieku, jakoteż spokrewnioną z tak słynną ze swej wiedzy dozorczynię chorych, iż w nagłych razach mogła zastąpić doktora — otóż ona przepisała synopizma. Zabrano się niezwłocznie do wykonania tego—mniejsza jakie lekarstwo byle uśmierzyło ból i nie dopuściło rozwoju choroby. Wnet znalazła się gorczyca i panie zabrały się do przyrządzenia synopizm — i w gruncie duszy każda pragnęła sama je przyłożyć. Mistress Jinks zszedłszy do kuchni rady sobie dać nie mogła — panie i panny poznosiły najrozmaitsze przysmaczki i jednocześnie kazały je przyrządzać. Komin cały zastawiony był rondlami najrozmaitszej wielkości, a obok tego nieustannie odwoływano ją do pokoju chorego, tak że biedna wdowa bała się czy nie zwariuje, i szczerze pragnęła wyprawić na koniec świata wszelkie choroby gardła. Na domiar dzwonek u drzwi odzywał się co chwila, odrywając ją od komina, gdyż wieść o słabości pastora rozległa się po całym Foxwood, i zaniepokojone owieczki przybiegały tłumem zapytując jak się miewa.

Zaszczyt postawienia synopizm na karku przypadł miss Blake, mnóstwo rąk wyciągnięto ofiarując jej swą pomoc w odsłonięciu i przytrzymaniu kołnierzyka. Miss Blake z wielkiem przejęciem przystępowała do spełnienia swego zadania. Pewną była że chory wlepi w nią oczy, i zapominając o różnicy wieku, snuła w myśli różne urocze rojenia i słodkie nadzieje — boć przecież nie miała żadnego obowiązku marnować swe wdzięki i zamieniać się w wierzbę płaczącą, dla renegata i wiarołomcy — wiarołomcy nie względem niej jedynie — jakim był Karol Andinnian. Żemina Moore siedziała na uboczu przypatrując się wszystkiemu; w obec tego batalionu straży ochotniczej nie ofiarowała swych usług — tylko twarz jej zdradzała wielkie niezadowolnienie, chwilami miss Blake obudzała w niej zazdrość.

Gdy już synopizma zostały przyłożone i gardło obwiązane, podano pacyentowi dla wzmocnienia filiżankę doskonałego bulionu, poczem należało już tylko dać mu spokojnie wypocząć kilka godzin. Trzeba więc było odejść i zostawić go samego. W jednej chwili wszystkim opiekunkom jedna myśl powstała w głowie: jedna powinnaby zostać aby czuwać nad śpiącym panem Cattacomb — ale nie chcąc aby szczęście to stało się udziałem innej, żadna nie wspomniała o tem.

— Wszak powrócisz pani? rzekł wielebny pacyent, zatrzymując rękę miss Blake.

— O! możesz być tego pewny, kochany panie Cattacomb, odrzekła czule spoglądając na niego — i za skarby świata nie dałaby się odwieść od spełnienia tego przyrzeczenia.

Wyszły tedy wszystkie razem, a pan Cattacomb zasnął niebawem. Choroba jego nie była udaniem, rzeczywiście miał gorączkę.

Była już jesień, dnie stawały się coraz krótsze. Ciemność zapadła, zaledwie na kilka kroków przed sobą widzieć było można. Jedne z pań zwróciły się na prawo, drugie na lewo. Omnibus z całym pakunkiem pań odjechał do Basham. Miss Blake udała się wprost do Foxwood-Court, aby uprzedzić że nie przyjdzie na obiad, gdyż wierna przyrzeczeniu, miała zaraz wrócić do chorego.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 32.

(*Dokończenie*).

N. 20—21. Suknia z z vêtement à panier.

Przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 20—21, wskazuje spódnice zupełnie odmiennie przybrane; odpowiednia jest dla młodej osoby i może być uszyta z jednostajnego materyału, lub z dwóch odmiennych wyrobów albo kolorów. Suknia przedstawiona z przodu, uszyta na żagnocie lub satynce, miała spódnicę złożoną z trzech falban, z materyi niebieskiej surah, zaszywanych wzdłuż w wązkie fałdeczki a u dołu rozchodzące się w gładkie falbanki wycięte w ząbki; pod dolną falbanką podszyte wązkie plisowanie. Stanik zapięty z przodu na kryte haftki, na zwierzchnią materyę na gładkiej podszewce, zaszywaną w zakładeczki, kończące się dopiero przy panier. Tylny bryt zebrany ściśle w fałdy spada prawie do dołu sukni bez żadnego podpięcia. Suknia ryc. 21 ma całą spódnicę zagarnirowaną drobnemi falbankami.

N. 22. Suknia z vêtement.

Spódnica z zefiru w pasy zakończona u dołu szeroką riuszą składaną w potrójne kontrafałdy. Vetement krajane na długość stanika z baskiną, ma następnie dodane odcinane przody, szeroko rozchodzące się ku dołowi, z fałdami zebranemi nakształt panier; tylne upięcie składa się z dwóch brytów ściśle zebranych w fałdy. Szeroki wykładany kołnierz ścięty w szpiczaste zęby z przodu, uszyty z materyału w pasy stanowi jedyne przyozdobienie vetement.

N. 23. Suknia z krótką draperyą.

Spódnica z gazy koloru écru składa się z dwóch szerokich plisowanych falban, oszytych szeroką koronką écru. Stanik i draperya dane z oliwkowego jedwabnego materyału, draperya opasuje baskinę nakształt szarfy i przytrzymana jest z boku rozetą z końcami, tylny bryt podpięty w krótką odstającą bufę.

N. 24. Ubranie dla chłopca lat 5—7. Krój na arkuszu N. IV, fig. 15—20.

Składa się z bluzki i krótkich majteczek, odrobionych z korciku w drobną krateczkę, ostębnowanych w około brzegów i ozdobionych płaskiemi guziczkami z konchy perłowéj. Majteczki (fig. 15) zapinane z przodu i z boków przypinają się do spodniego staniczka z szyrtyngu. Bluzkę przykrojoną podług fig. 17 i 18 dopełnia karoczko, ułożone w fałdy schodzące się do przodu, potrzeba na nie prostego kawałka 14 cent. szerokiego, 206 długiego. Do przodu (fig. 17) podszyta jest kieszonka, przy przecięciu między gwiazdką a dwukropkiem. Wzdłuż brzegów pod guziki i dziurki przystębnowana listewka $4^1/_2$ c. szeroka, na rękawach dane wykłady 7 cent. szerokie, wykrój szyi wszyty w pasek podług fig. 20.

N. 26. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Odrobiona z jedwabnego bastu, przybrana jest wszywkami i koronką écru; spódnica ułożona w równe kontrafałdy, przedzielane wszywkami, u dołu zakończona jest riuszą oszytą koroneczką. Z przodu przy staniku dodane panier, z tyłu zaś upięcie z dwóch brytów z jednego boku krótko sfałdowane wachlarzowo, z drugiej strony spuszczone spiczasto i przysłonięte szarfą z szerokiej jedwabnej wstążki. Baskina stanika przysłonięta jest szeroką koronką suto namarszczoną.

N. 27. Suknia z vêtement. Krój połowy vêtement w zmniejszeniu wskazuje fig. 53.

Materyał na to strojne ubranie stanowi atlas gładki różowy i takiż w ciemny deseń, przybranie dane z koronki 6 cent. szerokiej i aksamitki ciemno różowej z atłasowym spodem. Spódnicę przykrywają trzy falbany po 30 cent. szerokie, oszyte koronką zaplisowane i przestębnowane w połowie szerokości. Przody vêtement krają się podług fig. 53 na długość zwykłego stanika z baskiną, plecy zaś i boki przedłużone są w bryty stanowiące tylną draperyę, której szerokość i długość w połowie wypisana na fig. 53. Brzeg dolny sfałdowany podług krzyżyków i kropek przyczepia się na spódnicy tak aby bufa mocno odstawała, pod bufą dana kokarda ze skosu 24 cent. szerokiego przysłonięta w połowie kokardą z aksamitki. Kamizelka i kołnierz wykładany dane z gładkiego atłasu; rękawy sięgające do łokci ozdobione koronką i ranwersami gładkiemi.

N. 28—33. Ubrania spacerowe albo do wód.

N. 28. Suknia z paletocikowym stanikiem.

Spódnica zakończona wolantem szerokim, układanym w kontrafałdy, podchodzącym pod tunikę, podpiętą lekko z boków. Stanik paletocikowy odznacza się zgrabną formą; przody przedłużone w szpiczaste zęby, rozchodzą się szeroko u dołu, znacznie krótsze plecy, dopełnione fałdowanem karoczkiem przypiętym pod kokardą. Brzegi przodów na wcięciu stanu dochodzą tylko do siebie i spięte są niewidocznie na haftki, wyżej zaś pod szyją zachodzą skośno na siebie; wykrój szyi wszyty w wązki stojący kołnierzyk. Jasne plisy z ciemną wypustką, ładnie odbijające przy całem ubraniu, są z takiego jak suknia materyału tylko w najjaśniejszym dobrane cieniu; można dać je z materyi do sukni wełnianej.

N. 29. Suknia z bawetowym stanikiem.

Uszyta z gładkiej i deseniowej satynki, ozdobiona żółtawą koronką, ma spódnicę przykrytą dwoma plisowanemi falbanami, z jednego boku przepiętemi rozetami z wstążki. Panier zachodzi pod baskinę bawetowego stanika a z tyłu złączone jest pod brytem lekko podpiętym ogarnirowanem koronką. Stanik zapięty skośnie na okrągłe metalowe guziczki; szeroki kołnierz plisowany z materyi surah tego co suknia koloru włożony na chusteczkę koronkową.



N. 1—4. Ubrania domowe i podróżne dla pań i dzieci.

N. 1. Ubranie z vêtement dla dziewczynki lat 8—10. N. 2. Ubranie z pelerynką. Patrz plecy na ryc. 30. N. 3. Płaszczyk z pelerynką dla małej dziewczynki. N. 4. Szlafrok ranny przybrany kokardami.

N. 30. Ubranie dla dziecka lat 2—4. Krój na arkuszu N. V, fig. 21—24.

Fig. 21—24 daje w naturalnej wielkości krój paletocika, który włożony jest na ryc. 30 na gładkim staniku bez rękawów i na plisowanej spódniczce. Sukieneczka ta była z jedwabnego bastu, naszywana bronzowym jedwabnym sutaszem; kokarda z tego co suknia materyału.

N. 31. Ubranie spacerowe z pelerynką. Krój pelerynki na arkuszu N. III, fig. 13—14.

Ubranie to odpowiednie do przechadzki przy wodach a szczególniej do podróży, szyje się z cienkiego wełnianego materyału. Spódnica na gładkiej podszewce żagnotowej oszyta u dołu drobniutkiem plisowaniem, w połowie długości przemarszczona jest kilkakrotnie. Draperya wysuwająca się z pod baskiny stanika, jest również w połowie przemarszczana z przodu; stanik długi, zupełnie gładki z przodu, z tyłu ma baskinę fałdowaną. Formę pelerynki stanowiącej zręczne dopełnienie ubrania dališmy na fig. 13; fig. 14 przedstawia plecy pelerynki przemarszczane u dołu i podpięte puklami z wstążki. Przody pod szyją zebrane są w fałdy od 1—5 i zapięte kokardą; wykrój szyi i stanika wszyty w pasek aksamitny 4 cent. szeroki. Pod przemarszczeniem pelerynki z tyłu od spodu dodane końce z wstążki, które wiążą się z przodu i utrzymują pelerynkę aby gładko leżała; jeżeli nie chcemy końcy, w takim razie trzeba z tyłu w pasie przypinać pelerynkę do stanika.

N. 32. Sukienka zdobna haftem, dla panienki lat 12—15.

Haft odrobiony maszynowo na materyale sukni jedwabiem tego samego koloru; na draperyę przerzuconą szalowo, brzegiem stanika z baskiną, podpiętą z boku kokardą, bierze się materyał poprzecznie. Przy staniku dany plastron atłasowy, przemarszczony na wcięciu stanu, z boków zakończony szlakami haftowanemi.

N. 33. Sukienka z pelerynką, dla panienki lat 9—12.

Uszyta z niebieskiego kretonu, z ciemnemi szlakami, ma na spódniczce dwie falbany, składane w kontrafałdy. Panier przy staniku zapinanym z tyłu na guziki, kraje się w jednym ciągu z fałdowanemi przodami, z tyłu zaś łączy się pod duż kokardą. Pelerynka zapięta z przodu agrafką szmuklerską.

N. 36—37. Serweta na stół. Haft i aplikacya; deseń patrz fig. 28—29a.

Haft odrobiony na serwecie z ciemno oliwkowego sukna liczącej w kwadrat 114 cent., przedstawia się bardzo efektownie z powodu rozmaitości materyałów wybranych do aplikacyi, jako to: reps, atlas, adamaszek, brokatela, w dobrych jedwabnych gatunkach i lżejsze materyały wełniane w turecki deseń, przerabiane złotem. Do naszywania aplikacyi użyte także rozmaite sznureczki złote, srebrne jedwabne, sutasze, podwójnie złożona włóczka hamburgska, do wyszycia zaś zastosowany ścieg płaski, sznureczkowy, luźny i t. p., jak to dokładnie wskazuje ryc. 37. Na fig. 28, na arkuszu z krojami daliśmy w całości deseń narożnika; iść brakujący z jednej strony i dalszy ciąg bocznego desenu przenosi się z fig. 29, składając kropkę do kropki, zaś fig. 29a daje część dopełniającą narożnik z drugiej strony. Przypominamy że materyały, z których wycina się aplikacya, trzeba z lewej strony podkleić bibułką, aby brzegi się nie siepały.

N. 43—44. Sukienka z vêtement, dla panienki. Krój na arkuszu N. II, fig. 8—12.

Ryc. 44 przedstawia sukienkę z niebieskiej satynki, oszytą ponsowym haftem 8 cent. szerokim, a na ryc. 43 widzimy kostjum z deseniowego kretonu, naszywany gład-

kiemi pliskami. Krój spódnicy, długość i szerokość wskazuje fig. 12; przybranie stanowi falbana plisowana 8 c. szeroka przykryta 20 cent. szerokim wolantem, zaszytym pliskami nad którym dana bufka marszczona 8 cent. szeroka. Vêtement kraje się podług fig. 8 — 11, bryt prosty (fig. 12) dopełniający plecy, zszywa się gładko z bokami i podpina w fałdy podług krzyżyków i kropek; górny brzeg złożony w kontrafałdy przyszywa się do pleców, na wierzchu zostawiając nagłówek 5 cent. szeroki. Kokardy z wstążki 5 cent. szerokiej.

N. 5—6. Dwa parasoliki podróżne.

13. Próbka frendzli do serwety ryc. 12.

Opis do N-ru 33.

N. 1—4. Ubrania domowe i podróżne dla dam i dzieci.

N. 1. Suknia z vêtement dla dziewczynki lat 8—10.

Na spódniczce naszyte są dwie 15 cent. szerokie, w kontrafałdy układane falbanki, przedzielone haftowaną 8 cent. szeroką falbanką Krótki przód i boczki vêtement dopełnione są od spodu podszytemi częściami baskiny, zakończonemi szerokim stębnowanym obrębem. Draperyę tylną upiętą sposobem wskazanym na ryc. kraje się razem z pleckami szeroko na wcięciu w pasie przemarszczonemi. Kołnierz, rękawy i kieszonki oszyte szlaczkiem haftowanym. Model sukienki odrobiony był z niebieskiej satynki.

N. 2 i 30. Ubranie z pelerynką.

Ryc. 2 i 30 przedstawia z przodu i z tyłu suknię z popielatego wełnianego materyału i z materyi takiegoż koloru, która wraz z daną pelerynką stanowić może ubranie podróżne. Na spódnicy jedwabnej ogarnirowanej plisowanym wolantem, przednią draperyę układa się z prostego, 172 cent. długiego bryta, do dołu gładko, długo spuszczonego, w górze suto sfałdowanego. Boczne, gładkie, 38 cent. szerokie bryty, są tylko na 20 cent. długości w górze z przodem zeszyte, niżej niby do zapinania na guziczki urządzone, są oddzielone od przodu plisowanemi, jedwabnemi klinikami. Tylną draperyę układa się z bryta 98 cent. szerokiego a 110 długiego. Wązkie od dołu otwarte z boków trochę przyfałdowane przody są tylko do wcięcia w pasie z boczkami zeszyte, dalej boczek zachodzący na wierzch jest na guziczki zapięty; a boczki pleców zachodzą na boczki przednie i są także niby na guziczki zapięte. W fałdy ułożoną baskinę tylną kraje się razem z plecami, dodając 28 cent. długości a 80 szerokości. Pelerynka z boków na guziki zapinana, na środku pleców w 4 fałdy złożona, ma 32 cent. przedniej a 40 cent. tylnej długości; mankiety i mały wkładany kołnierz daje się z materyi.

N. 3. Płaszczyk z pelerynką dla małej dziewczynki. Krój podług ryc. 37 w N-rze 19 z r. b.

Podróżny płaszczyk z alpagi, bastu lub szarego płótna, zdobi jedynie kilka rzędów stębnówki. Długa peleryna sznurowana jest z tyłu na sznury z kwastami, a kołnierz zrobiony z dwóch plisowanych falban, jedna na drugą zachodzących.

N. 12. Serweta ozdobiona haftem kolorowym. Patrz szlak w naturanej wielkości r. 15, frendzle „macramé“ r. 13 i 14

N. 14. Próbka frendzli macramé do serwety ryc. 12.

N. 7. Bluzka ozdobiona haftem, dla małej dziewczynki.

N. 8. Sukienka wycięta dla dziecka rocznego. Patrz plecy na ryc. 25 w N. 34.

N. 10. Krawatka biała jedwabna, ozdobiona dużym kwiatem haftowanym, aplikowanym lub malowanym kolorami.

N. 9. Spódnica do sukni ozdobiona haftem i draperyą.

N. 11. Długie jedwabne rękawiczki przewleczone kolorową wstążką.

N. 15. Szlak do serwety ryc. 12. Haft płaski i ściegiem pojedyńczym jednakowym na dwie strony.



N. 16. Suknia dla młodej panienki ozdobiona haftem szwajcarskim.

N. 4. Szlafrok ranny ozdobiony kokardami.

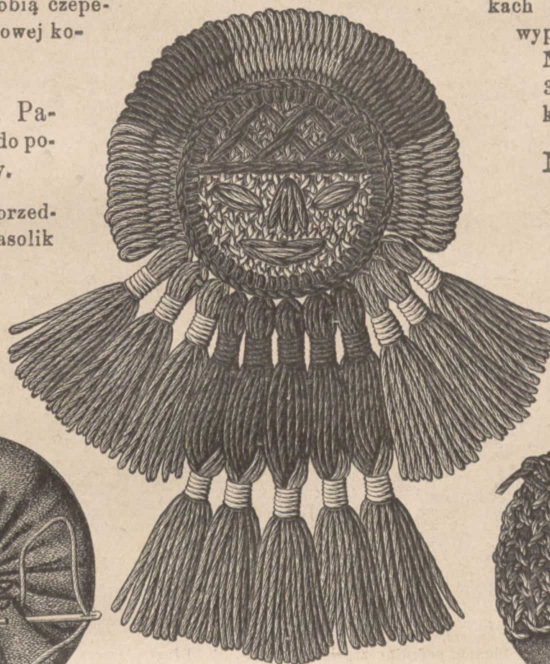
Strojny negliż odrobiony z jedwabnej deseniowej materyi, podług znanej formy princesse, u dołu ogarnirowany był plisowaniem z materyi gładkiej, przestębnowanem w odstępie 8 cent. od brzegów, a z przodu ubrany kokardami ze wstążki repsowej 7 c. szerokiej. Takież kokardy zdobią czepeczek z kremowej koronki.



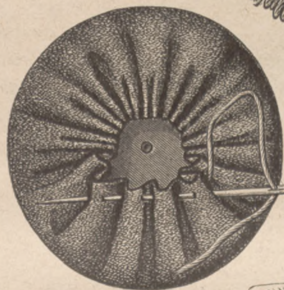
N. 20. Poduszka do kanapy. Haft gobelinowy na repsie wełnianym. Patrz kwasty i frendzle na ryc. 21—23 i 25—27, deseń na ryc. 24.

N. 5—6. Parasoliki do podróży.

Ryc. 5 przedstawia parasolik z laską ostro okutą u dołu, bardzo dogodny do spacerów w górach; a ryc. 6 parasolik z laską zesuwaną, którą zesuwa się krótko do pakowania, a przy dłuższych spacerach rozsuwa o tyle żeby można się było dogodnie podpierać. Obadwa modele pokryte były wełnianym mienionym materyałem.



N. 21. Kwasty z wyszytemi guzikami do ryc. 20. Wielkość naturalna. Patrz guziki na ryc. 22 i 23.



N. 22. Pokrycie guzika do ryc. 21.

N. 23. Robota dziergana na guziki do ryc. 21.



N. 25. Sposób nawijania nitek do frendzli do poduszki r. 29.

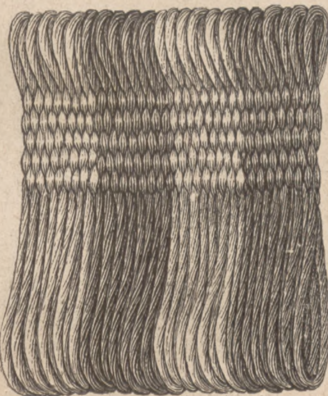
N. 7. Bluzka haftowana dla małej dziewczynki.

Biała batystowa sukienka składała się ze spódniczki fałdowanej mającej 160 cent. obwodu, a 33 c. długości, ozdobionej zakładkami i szlakiem haftowanym 9 cent. szerokim. W górze do paska od spódniczki przyszyta jest i wywinięta 12 c. szeroka haftowana falbana, od spodu podszyta 4 c. szeroką walansienką, stanowiąca baskinę bluzki, długiej luźno spuszczonej, pod którą kładzie się stanik gładki z tyłu zapinany, z przodu ozdobiony wszywką i zastępujący szmizetkę. Haftowany wykładany kołnierz i mankiety oszyte wązką walansienką.

N. 18. Wstawka do bielizny. Kratka na płótnie wyciąganym.

N. 8 i ryc. 25 w N. 34. Sukienka wycięta dla dziecka rocznego.

Niebieska kaszmirowa sukienka odrobiona była na gładkiej podszewce, złożonej tylko z plecków i przodu. Zwierzchni materyał znacznie szerzej przykryjony, przy kolistem wykroju szyi jest kilka razy przemarszczony dalej złożony z przodu w 8, na pleckach w 6 fałd węziej ściśniętych u dołu. Do brzegu sukienki przyszyta jest 13 c. szeroka, w kontrafałdy układana falbana, mająca 240 cent. obwodu, a nad nią dana bufa zajmująca 8 c. Atłasowa, 20 cent. szeroka szarfa jest w środku z przodu kilka razy przemarszczona, dalej w cztery fałdy złożona, a w tyle na kokardę zawiązana. Przy bufowanych rękawkach i wykroju szyi wypustki atłasowe. Na ryc. 25 w N. 34, przód sukienki jest gładki.



N. 26. Frendzla do poduszki ryc. 20 wielkość naturalna. Próbka ro-



N. 24. Deseń w starożytnym pieruwiańskim guście do poduszki ryc. 20. Haft gobelinowy.



N. 17. Ubranie z chusteczką dla młodej panienki.

N. 9. Spódnica do sukni.

Na modelu odrobiona była z gładkiej różowej satynki ze szlakami w deseń biały, mającemi 35 i 8 cent. szerokości, z których dane były marszczone falbany, oszyte $4\frac{1}{2}$ cent. szerokim szlaczkiem haftowanym. U dołu i między falbanami dane plisowanie 6 cent. szerokie i draperya są z gładkiego materyału. Sutą tylną draperyę układa się z bryta 115 cent. długiego a 110 szerokiego.

N. 12. Serweta haftowana ściegiem płaskim i pojedyńczym.

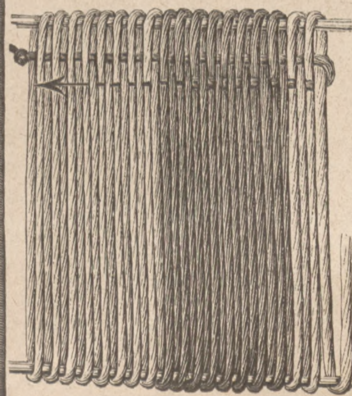
Tło serwety stanowiło rzadkie, żółtawe perskie płótno, w którem nitki odznaczają się jak w kanwie, a deseń robi się podług obrachunku nitek, kolorowemi jedwabiami i nitką złotą. Ryc. 15 przedstawia część szlaku w naturalnej wielkości, w którym kontury i drobne figury robione były kordonkiem czarnym, ściegiem pojedyńczym, jednakowym na obie strony, a haft płaski złotem i kordonkiem blado ponsowym, oliwkowym i piaskowym. Miarę serwety stosuje się do wielkości stolika. Próbki frendzli marcamé robionej z kordonków w kolorach haftu dajemy na ryc. 13 i 14.



N. 19. Wstawka do bielizny. Robota na nitkach wyciąganych w płótnie.

N. 16—17. Ubrania dla młodych panienek.

Ryc. 16 przedstawia suknię z niebieskiej satynki ozdobioną haftem szwajcarskim, robionym na batyście kremowym. Na spódnicy w koło plisowanej przyszyta jest w górze szeroka zmarszczona, haftowana falbana stano-



N. 27. Przerabianie nawiniętych nitek frendzli, ryc. 26.

wi ąca baskinę stanika, z przodu na kryte haftki zapinanego. Przyszycie falbany przykrywa pasek zapięty z przodu pod kokardą. Z takiegoż haftu jest szeroki wykładany kołnierz i mankiety.

N. 17. Ubranie z chusteczką.

Trójkątna chusteczka z długiemi końcami, przechodzącemi za wcięcie w pasie 30 cent., zrobiona być może z tiulu białego lub czarnego, albo z muślinu. Brzegi oszywa się lekko nadmarszczoną, 10 cent. szeroką koronką. W górze chusteczkę zapina się kokardą z kolorowej wstążki, a końce z przodu spuszczone, przepasuje się paskiem ze wstążki.



N. 28. Kołnierzyk „duchesse" z płótna i koronki.

N. 18—19. Kratki ażurowe robione na rzadkiem płótnie, w którem wyciągają się nitki, służą na wstawki do bielizny, sukni i t. p.



N. 30. Ubranie podróżne z pelerynką. Przód na ryc. 2.

N. 31. Długi płaszczyk podróżny Patrz model kroju r. 11 w N. 34.

sowych niebieskim a w czarnych ponsowym. Usta i oczy robić od miennic od tła żółto, niebiesko lub ponsowo. Boki poduszki stanowi bufa z pluszu ciemno ponsowego, a próbki frendzli nie przecinanych kwastów i narożników dajemy na ryc. 21—23 i 25—27.

N. 31. Płaszczyk długi podróżny. Model i miary kroju płaszczyka na ryc. 11 w N-rze 34. Krój peleryny w naturalnej wielkości, podług formy do r. 31 w N. 32.

Płaszczyk luźną formą paletotową, odrobiony był z materyału wełnianego w drobną kratkę czarną z białem. Brzegi były parę razy przestębnowane; ozdobę stanowią kokardy z czarnej repsowej, 8 c. szerokiej wstążki.

(D. n.)



N. 29. Kołnierzyk „duchesse" z koronki i aksamitki.



N. 32. Szlak do serwet, poduszek i t. p. Haft płaski i sznureczkowy jedwabiami kolorowemi.



N. 33. Koszyczek stojący do robót, pokryty ponsowym aksamitem i ozdobiony lambrekiną „macramé", wiązaną ze sznurków jedwabnych, białych, niebieskich i ponsowych.

N. 20—27. Poduszka do kanapy. Haft gobelinowy; deseń w guście starożytnym, podług wykopalisk w Peru.

Podługowata poduszka, robiona była na tle z oliwkowego grubego wełnianego repsu, ściegiem gobelinowym; nie tylko deseń i kolory haftu ale nawet i oryginalne pasmanterye, agrafy, kwasty i wązka frendzla, naśladuje materyały znalezione w wykopaliskach. Na modelu kontury figur robione były kolorem brunatnym, czerwonawo bronzowym, ponsowym i czarnym. Tło w konturach brunatnych zarabiać kolorem czarnym, w czerwonawo bronzowych oliwkowym, w pon-



N. 34. Suknia ozdobiona haftem. Patrz plecy na ryc. 40 w N-rze 34.



N. 35. Ubranie ze stanikiem à panier.